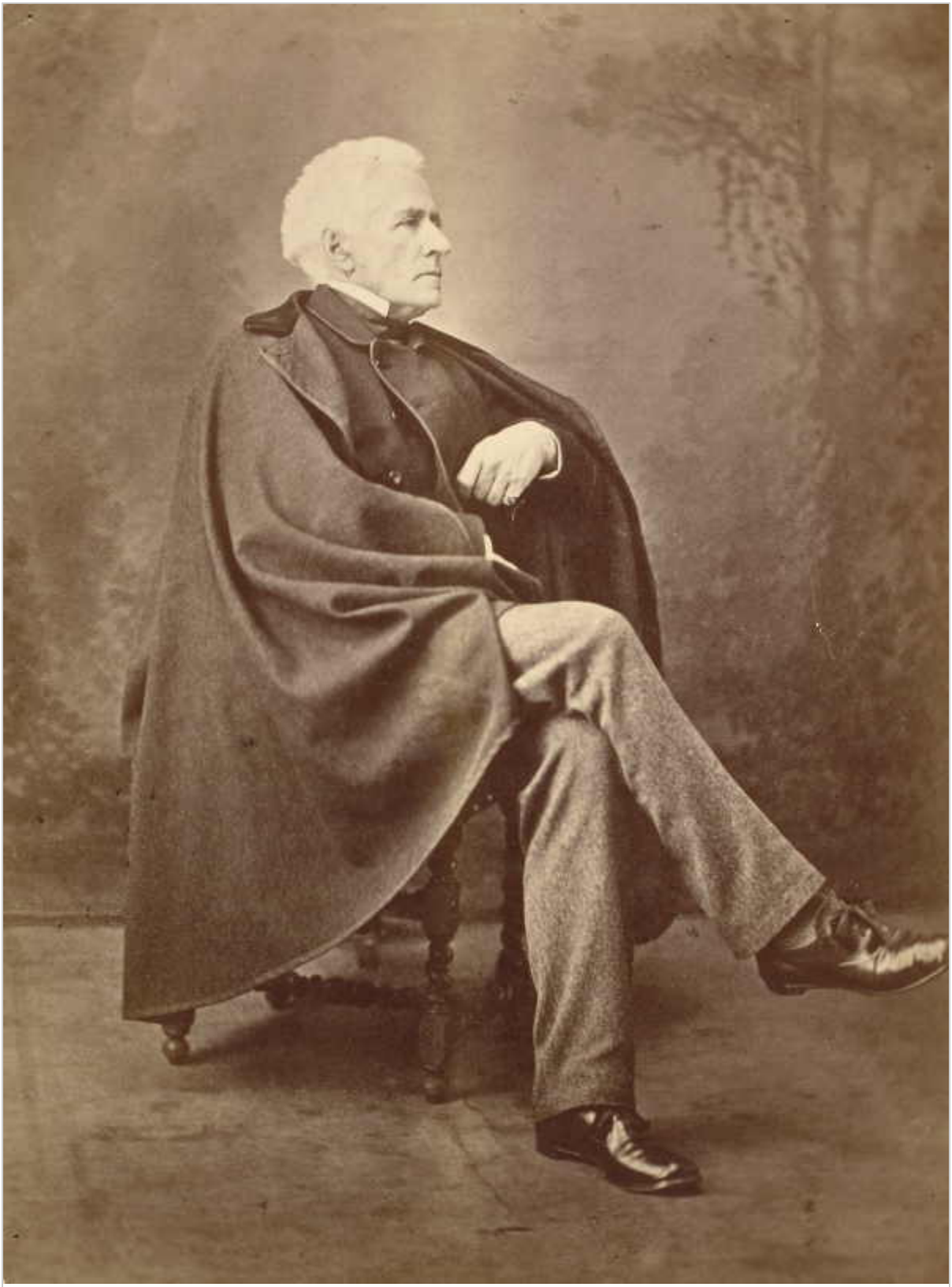
Paweł Edmund Strzelecki – postać fikcyjna czy realny człowiek?



Paweł Edmund Strzelecki

Lech Krzysztof Paszkowski

Prawda nie jest nigdy niewinna i rzadko bywa prosta.

Oskar Wilde.

Sir Pawel Edmund de Strzelecki jest najbardziej znanym Polakiem na kartach australijskiej historii w XIX wieku, wśród kilku mniejszych badaczy urodzonych w Polsce. Istotnie w wielu kręgach uważa się, że jego sława oparta jest jedynie na jego osiągnięciach jako odkrywcy. A jednak te osiągnięcia, interesujące i ważne jako takie, nie należą do najważniejszych w Australii dokonań w zakresie odkryć terytorialnych. Jego specjalne osiągnięcie w „eksploracji", raczej plasuje się na polu wiedzy naukowej odnoszącej się do Australii, będąc wkładem całkowicie oryginalnym i wszechstronnym. Odkrywczość Strzeleckiego ma wiele płaszczyzn, a każda z nich jest niezwykle interesująca, niezależnie od tego, czy jego wnioski zagadzają się z poglądami późniejszymi. Niestety jednak, jest on trudnym obiektem dla biografa. Łatwiej byłoby napisać biografię innego odkrywcy-obcokrajowca, takiego jak Ludwig Leichhrdt albo Mikołaj Mikłucho-Makłaj, ponieważ mamy ich dzienniki. Dziennik Strzeleckiego, zatytułowany „Mon Journal" i pisany po francusku, zaginął. Zaledwie kilka stron tego dziennika zachowało się w postaci przypisów do do jego „Opisu fizycznego Nowej Południowej Walii i Ziemi van Diemena". Jego osobista

korespondencja oraz dokumenty zostały spalone po jego śmierci. Jego listy wysyłane do Polski nie przetrwały I Wojny Światowej, z wyjątkiem kilku stron. Mając więc zaledwie strzępki dokumentacji, napisanie satysfakcjonującej biografii Strzeleckiego jest niemożliwe. Można zaledwie podjąć próbę zrekonstruowania ciągu faktów w ramach okresu jego życia. (…)

28 września 1840 roku Sir George Gipps pisał do lorda Russella:

> Z zadowoleniem przesyłam niniejszym Waszej Lordowskiej Mości kopię opisu tej podróży złożonego mi przez Hrabiego [Strzeleckiego], i nie mogę tego zrobić bez powiadomienia Waszej Lordowskiej Mości o uczuciach poważania i szacunku w stosunku do niego, które zostały wzbudzone wśród mieszkańców tej Kolonii.

James Fenton z Tasmanii wspominał go w 1842 roku tak:

> Najbardziej czarujący rozmówca. Objechał oprawie cały świat, był pogodny w konwersacji, miał bogaty zapas anegdot, które opowiadał w najbardziej interesujący i często zabawny sposób, z silnym cudzoziemskim akcentem… przy tym był wesoły, odważny, o silnej konstytucji fizycznej i obdarzony bogatym zasobem naukowej wiedzy.

5 września 1842 roku lady Jane Franklin pisała do swojej siostry:

> On [Sir John Franklin] prawdopodobnie przedstawi panu Murray'owi jedną z najbardziej znakomitych i interesujących osób jakie kiedykolwiek poznał, nawet przy szerokim kręgu jego dystyngowanych znajomych, polskiego szlachcica, hrabiego Strzeleckiego. Wiem, że będziesz nim oczarowana, jak każdy bez wyjątku, jest on tak dżentelmeński, elegancki, tak bystry, tak znakomity, tak pełen ognia i życia, a przy tym tak miły, tylko troszeczkę ironiczny, ale nie za wiele. Będzie on najjaśniejszą gwiazdą w twojej galaktyce ludzi zasłużonych. Spotkałam go pierwszy raz około trzy lata temu, w Government House w Sydney, gdzie był w wielkich łaskach u Sir George'a Gipps'a.

W czerwcu 1843 roku, przesłany został do Strzeleckiego uroczysty list, który zaczynał się następującymi słowami:

> My, niżej podpisani, nie możemy znieść pańskiego odpłynięcia od naszych brzegów bez wręczenia panu dowodu naszego serdecznego ubolewania. Korzyści, ktorymi pan obdarzył nasz kraj, dodały do prywatnej przyjaźni dodatkowe motywy, które wołają o publiczne i jednogłośne wyrażenie

> naszego szacunku.

Wśród trzydziestu dziewięciu podpisów pod tym listem były te należące do gubernatora Sir Johna Franklina, do Głównego Sędziego Sir Johna Peddera, do Sekretarza Kolonii G. Boyes'a i innych prominentnych osadników w Tasmanii.

Poniżej był Dodatek, podpisany przez lady Jane i osiemdziesiąt cztery inne osoby:

> My, niżej podpisane damy z Tasmanii, w pełni podzielając uczucia szacunku i uznania wyrażone przez dżentelmenów Kolonii pod adresem hrabiego Strzeleckiego, pragniemy mieć udział w zaszczycie dołączenia się do pamiątki którą mają oni zamiar mu wręczyć.

W połowie 1845 roku Charles Darwin napisał do Strzeleckiego po otrzymaniu egzemplarza jego „Fizycznego opisu Nowej Południowej Walii i Ziemi van Diemena":

> Kilka dni temu otrzymałem pański uprzejmy i cenny prezent... Gratuluję panu ukończenia pracy, ktora musiała kosztować wiele wysiłku i jestem zdumiony liczbą głębokich

> tematów, które pan porusza. Proszę mi pozwolić wyrazić mój smutek, że nie ma tu o wiele obszerniejszych wyjątków z 'M.S.Journal'. Mam nadzieję zobaczyć go pewnego dnia opublikowanego w całości. – Mówi Pan o swoim nieidiomatycznym angielskim; z całego serca życzyłbym sobie, żeby jedna czwarta naszych angielskich autorów umiała myśleć i pisać językiem w połowie tak pełnym werwy a przy tym tak prostym.

21 listopada 1848 roku lord Overstone stwierdził, że Strzelecki jak najbardziej *„dostarczył obfitości dowodów, że posiada te wysokie wartości moralne, które brytyjskie społeczeństwo zawsze miało w najwyższym poważaniu".*

Takie były opinie wyrażane przez ludzi, którzy znali Strzeleckiego osobiście i obserwowali go w realnym życiu. Po jego śmierci ten strumień pochwał sie nie zmniejszył.

Narcyza Żmichowska, jego pierwszy biograf, powiedziała w 1876 roku: „Paweł Strzelecki w młodości i jak się zdaje w całym swoim życiu miał olbrzymie szczęście do ludzi."

W 1929 tasmański dziennikarz John Reynolds napisał:

> Uprzejme usposobienie Strzeleckiego uczyniło go

> szczególnie miłym gościem w wielu tasmańskich domach. Nawet dzisiajtrafiają się ulotne wspomnienia o tym przedsiębiorczym i wykształconym Polaku… Strzelecki należy do tej znakomitej grupy mężczyzn, którzy uczynili wiek XIX tak niezwykłym. Razem z Humboldtem, Franklinem, Darwinem, i Wallace'm, musi być uznany za jednego z wiodących naukowych odkrywców swojego czasu. Na pewno w stolicy Australii może się znaleźć jakieś miejsce żeby odpowiednio upamiętnić jego znakomite zasługi dla tego kraju.

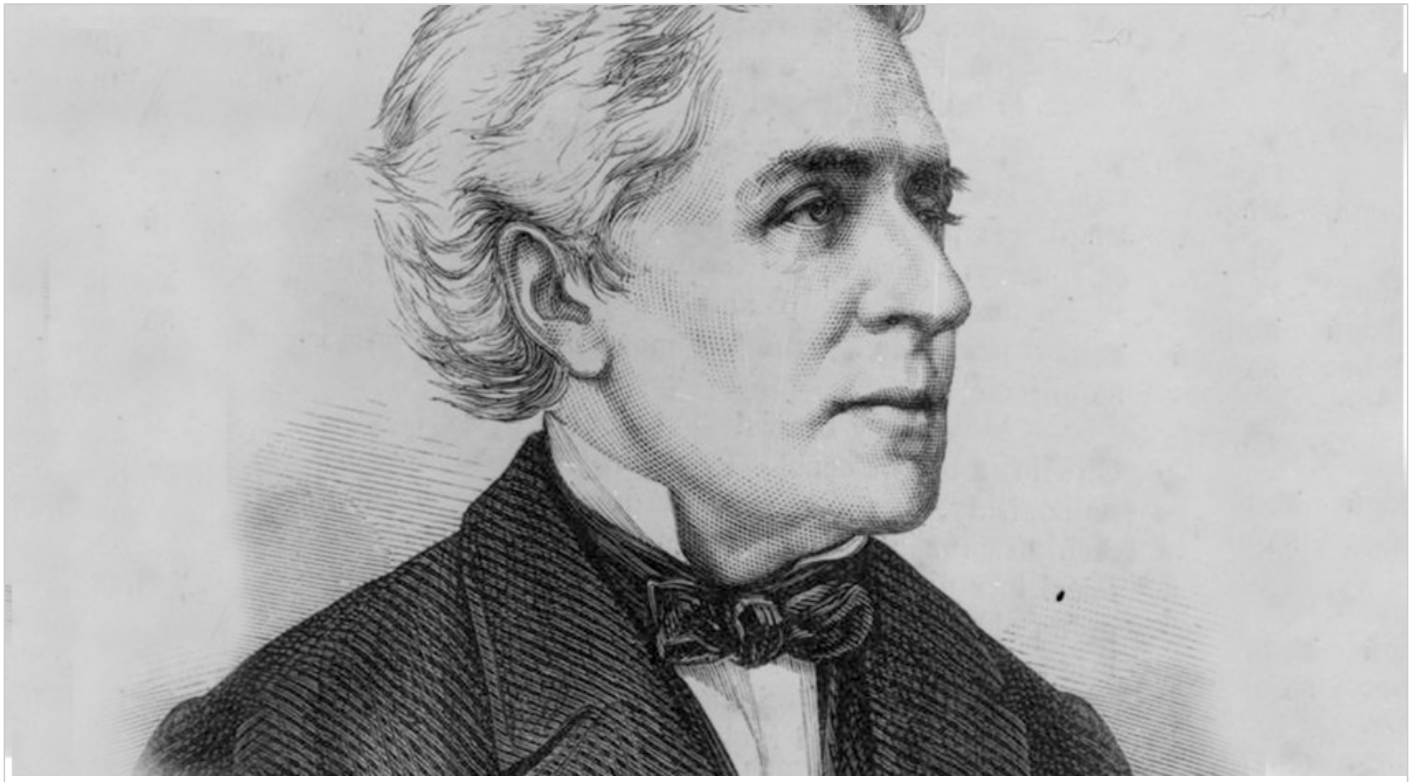
W 1939 roku, dr Arundell Neil Lewis, znakomity geolog australijski, w płomiennych słowach oceniał zawarty przez Strzeleckiego w jego „Opisie fizycznym" dowód stanu paleontologicznej wiedzy w Australii w jego czasach. Wskazywał na *„benedyktyńską pracę, za którą australijska geologia pozostanie wdzięczna na zawsze"*.

20 października 1942 roku, Sir George Clark, prezes Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie, złożył hołd Strzeleckiemu mówiąc:

> Kiedy przyjrzeć się bliżej życiu hrabiego Strzeleckiego, dwie rzeczy, poza jego odwagą i determinacją, wydają mi się niezwykłe: pierwsza, to jego dar wzbudzania wśród wielkich

> umysłów uczucia przyjaźni i zaufania do niego.Jego związek z innym wielkim nazwiskiem naszego Towarzystwa, Sir Johnem Franklinem, jest wystarczającym tego dowodem. A inną właściwością jego charakteru, jak ja to widzę, jest jego głęboka prawość.

Bernard Cronin, autor i nauczyciel, który wychował pokolenie australijskich pisarzy i dziennikarzy, zauważył w swoim artykule z kwietnia 1959 roku: *„Niewielu ludzi miało tak bogate i urozmaicone życie jak hrabia Strzelecki. Jego miejsce w annałach Australii jest bezpieczne na zawsze, bo jesteśmy w znacznej mierze jego dłużnikami”.*



Paweł Edmund Strzelecki

Lista tych wielce pochlebnych opinii mogłaby być wydłużona i z łatwością podwojona. Jednakże w roku 1961, zupełnie inny obraz Strzeleckiego został zaprezentowany w biografii napisanej przez Helen Heney, zatytułowanej „Przez przyciemnione szkło: historia Paula Edmonda (tak!) Strzeleckiego". W książce Heney rzucony zostal cień na moralną reputację Strzeleckiego, jego profesjonalna kompetencja została pomniejszona i w ogóle został on odrzucony jako niesympatyczny Polak. Nagle odrzucono i zanegowano wszystkie poprzednio cytowane opinie ludzi, którzy Strzeleckiego znali osobiście. Przyjęto za zasadę twierdzenie, że ci ludzie mylili się, kiedy rysowali pochlebny obraz Strzeleckiego na podstawie własnych obserwacji. Autorka napiętnowała Strzeleckiego jako *„figurę godną politowania"*. Ten wątek znalazł kontynuację w stałym strumieniu recenzji, a powtórki w książkach często były upiększane takimi obelżywymi wymysłami jak *„hrabia był podrabiany"*, *„drugorzędna i bezbarwna figura"*, *„ubogi krewny rodziny z pretensjami do szlachectwa"*, *„samozwańczy arystokrata"*, *„nie był odkrywcą złota"*, *„nie wspiął się na Mt Kościuszko"*. Ponadto *„jego życie rozgrywane było jako monstrualne kłamstwo i oszustwo"*, *„Strzelecki kreował i żył kłamstwem"*, *„samozwańczy naukowiec i badacz"*, *„awanturnik bez skrupułów, o niewielkim talencie i możliwościach, oportunista, który korzystał z każdej okazji z niewielkim szacunkiem dla prawdy, aby zadowolić swoje ambicje"*,
„jego rodzice byli chłopami", *„urodzony w 1797 pod Poznaniem*

wśród ziemiaństwa ze słomą w butach (seat-out-of-their-pants gentry)”, *„próżny exhibicjonista”*. Jeden z uczonych z australijskiego uniwersytetu określił wysiłek Heney jako *„bardzo duży naukowy kij użyty do zbicia bardzo małego historycznego psiaka”*, podczas gdy inny bardzo utalentowany pisarz, prawdziwa duma australijskiej literatury, napiętnował Strzeleckiego jako *„człowieka o wyćwiczonej bezczelności”*. Pewien sydnejski dziennikarz i autor wyraził się, że *„Strzelecki dostałby, co mu się należało, gdyby po dotarciu na szczyt Mount Kościuszko spadł i złamał sobie kark”.*

Po zebraniu i przeczytaniu tych uwłaczających komentarzy, uderzyła mnie uwaga opublikowana 1 czerwca 1962 w melbourneńskim miesięczniku *Bohemia*:

> Jakiż to musiał być wszechmocny magik, że sam sugerował, aby go honorowano i kochano kiedy nie był tego wart i że znakomici ludzie jego epoki – ministrowie, politycy, naukowcy, administratorzy – nawet taki realista jak Charles Darwin – potulnie zgadzali się i poddawali woli Strzeleckiego?

Tego samego dnia recenzja zatytułowana „Przyczerniony obraz” ukazała się w *The Times Literary Supplement*, gdzie krytyk pisał:

> Panna Heney nie zaprzecza, że w historii Strzeleckiego był światowy sukces, ale dokuczliwie łaje go nawet za cechy takie jak towarzyski wdzięk i lojalność wobec swojej przybranej ojczyzny, które nie wydają się karalne według żadnych praw moralnych.Także i psychologiczna interpretacja używana jest do stronniczego zabarwiania faktów i jest to bardzo naiwny rodzaj psychologii.

Zastanowiło mnie też zdanie znalezione w napisanej przez dobrze znanego dziennikarza, Geofreya Tebbutt'a recenzji książki Geofreya Rawson'a *The Count*, opublikowanej w *Herald'*zie w Melbourne 19 grudnia 1953: *„Pan Rawson jest zbyt uczciwy i zbyt zdyscyplinowany, aby wyciągać wnioski idące dalej, niż pozwalają na to dowody".*



W tej sytuacji sięgnąłem do trzech głównych biografii Strzeleckiego opublikowanych przed rokiem 1961. Znakomity australijski historyk, Ward L. Havard, napisał pierwszą z tych biografii w 1939 roku, i zakończył swoje cenne opracowanie (zatytułowane „Sir Paul Edmund de Strzelecki", ukazało się w *Royal Australian Historical Society Journal,* tom 26, część 1, 1940) następującymi słowami:

> Z pewnością jego zadziwiająca sprawność fizyczna i wigor, w połączeniu z wielką energią intelektualną i dogłębnym współczuciem dla bliźnich, wyniosły go do rzędu ludzi wybitnych. Z Głuszyny pod Poznaniem, bez wpływów rodziny

> czy bogactwa, zdobył sobie zaszczytne miejsce w Victorii i Anglii.

Komandor Geofrey Rawson, w swojej książce The Count (1953), doszedł do wniosku, że Strzelecki *„osiągnął ten światowy sukces i satysfakcję wyłącznie siłą swoich zalet i swojej ujmującej osobowości”.*

Wacław Słabczyński, kurator Biblioteki Narodowej w Warszawie, który skonsultował się z co najmniej dwiema setkami bibliotek na czterech kontynentach przed napisaniem najbardziej szczegółowej i najlepiej udokumentowanej do dnia dzisiejszego biografii Strzeleckiego, pod tytułem Paweł Edmund Strzelecki: Podróże-Odkrycia-Prace (1957) skonkludował: *„Nie cenił sobie sławy, a jednak ona go dosięgła wbrew jemu samemu”.*

Ani jeden z tych bardzo różniących się od siebie biografów nie wyczuwał i nie podejrzewał niczego, co mogłoby sprowokować oszczerstwa i obelgi przytaczane powyżej. Nie podobało mi się obrzucanie błotem nieżyjącego człowieka, który dobrze przysłużył się Australii i jej mieszkańcom. Toteż w latach 1950-tych narodziła się moja sympatia dla niego. W reakcji na słowa z Wprowadzenia do książki Heney *In a Dark Glass – „Ta rozprawa będzie dla wielu nie do przyjęcia i to jest ostateczny powód, żeby ją napisać”* – zdecydowałem sprawdzić i ocenić dowody w

istniejących materiałach biograficznych i w literaturze na temat Strzeleckiego. W ciągu ostatnich czterdziestu lat wyłonił się obraz charakteru i dokonań Strzeleckiego całkowicie odmienny od tego, który stworzyła Heney, a niezbyt odległy od tego, jak widzieli go jemu współcześni.

Warto zacytować dialog dwóch zmyślonych i anonimowych postaci, które obserwują Strzeleckiego wchodzącego do budynku Towarzystwa Królewskiego w Londynie. Ten fikcyjny dialog został umieszczony w prologu do dysertacji „P. E. Strzelecki – Australian Explorer; 1797-1873”, za którą panna H. E. Heney otrzymała stopień magistra (Master of Arts) Uniwersytetu w Sydney w roku 1937. Ten dialog kończy się następująco:

> Jego towarzysz roześmiał się. „Fakty, nawet w tych rzadkich przypadkach, kiedy są prawdziwe, a nie tylko uznawane za takie, nic nie znaczą. Każdy może przekręcić je stosownie do potrzeb. Prawdziwa prawda, jeśliby taka w ogóle istniała, mogłaby być odnaleziona w osobowości człowieka, który te fakty wykreował, w wewnętrznych motywach, które skłoniły go, żeby postąpił tak, a nie inaczej. Powód, dla którego człowiek poszukuje, cel, który go skłania do podróży, znaczy dla mnie więcej, niż góry, na które się wspiął czy rzeki, którym nadał nazwy. Ale to rzadko znajdziesz w biografii”.

> „Czy w twojej romantycznej opowieści jest więcej prawdy niż w moich nagich faktach? W końcu obie wersje są tylko wyborem możliwych materiałów”.
>
> „Daj mi mój rodzaj prawdy, i możesz sobie zatrzymać twoją własną. Co widzi się w życiu, w końcu, jest prawdopodobnie nie tyle tym, co tam jest, ile tym, co się tam widzi. Biografia to tylko fikcja pod inną nazwą”.

Po zobaczeniu tych słów napisanych przez Heney, odczuwa się pokusę żeby zapytać czy wszystkie biografie, które napisano i opublikowano, są naprawdę fikcją? Czy fakty mają być wykrzywiane tak, żeby odpowiadały intencjom i zachciankom biografów? Z pewnością powinna być jakaś różnica między biografem, a powieściopisarzem.

Trzysta lat

mistyfikacji



XV-to wieczny Klasztor Klarysek w miejscowości Beja w Portugalii.

Florian Śmieja

Jadąc z Andaluzji do Lizbony zatrzymałem się w niewielkim portugalskim mieście Beja, w którego centrum wznosi się piętnastowieczny Klasztor Klarysek. Jego sława dobiegła mnie

przed wieloma laty, więc postanowiłem zwiedzić go po drodze i zobaczyć celę jego najgłośniejszej mieszkanki, siostry Marianny Alcoforado, zakonnicy, której przypisano autorstwo listów miłosnych, w których rozczytywała się Zachodnia Europa a zwłaszcza Francja i Hiszpania przez trzy wieki.

> Ta Twoja nagła ucieczka, którą ból mój jakkolwiek tak wynalazczy w środkach nowych cierpień, nie jest zdolen w całej doniosłości jej smutku dostatecznie określić, zaliż to mi po wszelką wieczność nie dozwoli ujrzeć tych oczu, w których tyle miłości widziałam, które mnie nauczyły odczuwać rozkosze, jakie mi się stały nieskończoną błogością, zastąpiły wszelkie inne uczucia, a mówiąc szczerze – całą mnie wypełniały.
>
> Moje biedne oczy straciły w twoich jedyne światło, które mi życie i krasę dawało; pozostały im tylko łzy, a nie znam innego z nich pożytku, jak tylko płacz, ustawiczny płacz, odkąd się dowiedziałam, żeś postanowił tę straszną rozłąkę, która niezadługo mą śmiercią się stanie.
>
> A nagle: jednakoż zdaje mi się, jakoby, mnie coś ciągnęło do cierpień, których Ty jeden jesteś przyczyną. Całe moje życie Tobie poświęciłam od pierwszej chwili, w której oczy moje na Tobie spoczęły, i odczuwam tajemną rozkosz Tobie je w

> ofierze złożyć.
>
> Westchnienia moje wybiegają za Tobą po tysiąc razy na dzień, a nie dają mi żadnego ukojenia – biedne westchnienia moje nic dać Ci nie mogą prócz świadomej pewności mego nieszczęścia, które mi żadnej nadziei nie pozostawia i wiecznie to samo powtarza: „Przestań wreszcie, przestań biedna Marianno, przestań się tak daremnie wyczerpywać! Dość już westchnień, płaczu i żalów za kochankiem, którego nigdy już nie ujrzysz, który poza morze popłynął, by od Ciebie uciec – kędyś do Francji, a teraz opływa w przyjemnościach i rozkoszach i ani na sekundę nie pomyśli, że Ty cierpisz, i rozgrzesza Cię z uczuć, za które na żadną podziękę dla Ciebie zdobyć się nie może”.

Te fragmenty pierwszego listu pochodzą z tomiku “Listów miłosnych” Marianny Alcoforado wydanej w serii Jednorożca. Stanowią one fascynującą lekturę uchodząc nie tylko za wizerunek stanów serca portugalskiej zakonnicy, ale także za perłę literatury spowitą w atrakcyjną tajemniczość. Tak przynajmniej było do niedawna. Wersja polska doczekała się kilku wydań a sporządził ją nie byle kto, bo Stanisław Przybyszewski i przekład poprzedził pasjonującym wstępem.

Wydane anonimowo w Paryżu w 1669 roku jako “Listy

portugalskie” uchodziły za tłumaczenie z języka portugalskiego pisane przez nieznaną autorkę do wysokiego stanu kawalera, którego następna edycja wymieniła jako Chevaliera de Chamilly. Ponieważ książeczka stała się ogromnie popularna, sprytny wydawca dołączył listy pisane przez kogoś innego oraz odpowiedzi adresata. Z biegiem czasu zatraciło się rozróżnienie głównie z powodu braku sumienności edytorów i zatraty literackiego smaku u czytelników. W krótkim czasie rozeszło się czterdzieści wydań.

Oczywiście, zaczęto dociekać tożsamości bohaterów “Listów’. Amanta – adresata tak charakteryzuje Saint-Simon:

> Chamilly był w rzeczywistości tęgim i dość dobrze zbudowanym mężczyzną; ale równocześnie był bardzo grubiański i tak głupi, tak ciężki na umyśle, że gdy się na niego popatrzało i jego bredni słuchało, człowiek nie tylko że nie był w stanie pojąć, by się w nim jakaś kobieta rozkochać mogła, ale nawet wątpić należało, iżby mógł posiadać jakiś talent wojenny. Jeżeli zrobił w ogóle jakąś karierę mimo swej potwornej głupoty, to zawdzięcza to jedynie swej żonie, mądrej i rozgarniętej osobie. Znając dokładnie wartość swego męża, pani Chamilly na krok go nie odstępowała, wszystko za niego robiła, a on nawet tego nie miarkował.

Pochodził ze starej burgundzkiej rodziny i od młodych lat służył w wojsku. Jako rotmistrz szwadronu jazdy stał w portugalskim miasteczku Beja. Tam to, słowami Przybyszewskiego,

> był klasztor Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia, klasztor, w którym dwudziestosześcioletnia Marianna Alcoforado miała utracić cichy, pogodny spokój duszy, w jakim, jak sama opowiada, dotychczas żyła, stracić go na zawsze przez lekkomyślnego junaka, zjadacza serc niewieścich, trzydziestoletniego kapitana zaciężnego wojska francuskiego.

A nieco dalej notując obserwację Saint-Simona o zakonnicy, która z miłości ku niemu oszalała, powie:

> Rozumiem całe zdziwienie Saint-Simona, ale nieśmiertelna historia Tytanii z osłem powtarzała się zawsze i powtarzała się będzie. Tej bezbrzeżnej głupocie, chełpliwości i beztaktowi marszałka Chamily mamy do zawdzięczenia jeden z najwspanialszych dokumentów duszy kobiecej w całym jego obłędzie miłosnym, jej bezbrzeżnej rozpaczy po utracie kochanka, jej nadludzkich uniesień i przepastnych upadków.

Dopiero w 1810 roku padło nazwisko autorki listów. Brissonade znalazł dopisek na edycji z 1669 roku: *„Zakonnica, która te listy pisała, nazywa się Marianna Alcoforado, z klasztoru w Beja, pomiędzy Ekstremadurą a Andaluzją”.* Chociaż rodzina Alcoforadów była poważana i zasłużona, dopiero listy Marianny przydały jej najwyższego splendoru i przysporzyły światowej sławy.

W owych czasach w klasztorze mieszkały nie tylko mniszki z powołania, które służbie Bożej poświęcały życie, ale często również kobiety szukające schronienia. Posiadając majątek urządzały się z przepychem i wygodą. Swobodne kontakty ze światem za murami klasztoru nie dawały budującego przykładu, a niekiedy wywoływały skandale i głośne procesy. Tak pojęta epoka łatwo wytłumaczy szczegóły zawarte w listach. Przybyszewski widzi zakonnice, a wśród nich Mariannę, swobodnie przyglądające się wojskowej paradzie,

> na której czele harcował dorodny Chamily na ognistym rumaku. I to istotnie było jej zgubą i straszną tragedią. Spojrzał na nią i w tej samej chwili rozpalił w jej sercu ogień piekielnej miłości.

Okres miłosnego upojenia nie trwał wszakże długo. Kochanek pewnego dnia wsiadł na statek i wrócił do Francji. Na listy

wpierw nie odpowiadał, potem pisał zdawkowo. Marianna zdobyła się na ogromny wysiłek, aby piątym listem pożegnać go na zawsze.

> Nic już więcej sobie od Waćpana nie życzę. To prosty obłęd, że Mu to tak często i tyle razy powtarzam. A jest konieczne, bym wybiła sobie Pana z myśli i pamięci i całkiem o Nim zapomniała.
>
> I nawet wierzę w to, że już nigdy do Niego nie napiszę.

Za wszelką cenę Marianna postanowiła sobie przywrócić równowagę ducha i uspokojenie, albo targnąć się na swoje życie. Nie umarła jednak z miłości. Prócz udręki i męczarni spadła na nią infamia. Badacze jej losów na próżno szukali w rodzinnych dokumentach choćby najdrobniejszej wzmianki. Jej brat Baltazar, towarzysz broni Chamilly' ego wstąpił do stanu duchownego: cóż prostszego jak zobaczyć w jego nagłym kroku skruchę za rolę jaką mógł był odegrać pośredniczący w miłosnym stosunku Francuza z siostrą. Starszy brat oddał córki do innego klasztoru: czyż nie lękał się złego przykładu siostry? A Marianna, mimo gorącego oddania się służbie Bożej, mimo dobroci i łagodności, pozostała na uboczu i w cieniu. Umarła w 1723 roku – czterdzieści lat później – po cierpieniach i chorobach w łasce i przytomności umysłu.

Tymczasem “Listy portugalskie” zdobywały sobie coraz większą poczytność zarówno wśród szerokich rzesz czytelniczych, jak wśród elity intelektualnej. Po dziś dzień fascynują swoją niecodzienną mocą:

> Ja biedne dziecko człowiecze! Takaż to zapłata, którą mi się odwdzięczasz za to, żem Cię tak gorąco ukochała?
>
> Ale wszystko mi jedno. Postanowiłam ubóstwiać Cię przez całe moje życie i nikogo więcej nie pokochać. I to jedno Ci powiem: dobrze zrobisz, jeżeli i Ty żadnej innej nie pokochasz.
>
> Zadowoliłbyś się może miłością mniej gorącą od mojej? Być może, że znalazłbyś kobietę piękniejszą ode mnie – a przecież mówiłeś kiedyś, że jestem piękna – ale żadnej nie znajdziesz, która by Cię tak gorąco kochała jak ja, a ta reszta – to wszystko poza tym, to głupstwo i marność.

Przy pożegnaniu z równą mocą zabrzmi poczucie godności jak rozumienie sytuacji i żal za utraconą miłością.

> Chciałabym raz jeszcze do Waćpana napisać, aby Mu udowodnić, że po niejakimś czasie przecież się trochę

uspokoiłam. Jaką rozkosz mi to sprawi, że będę mogła Mu w oczy cisnąć wyrzuty za Jego niegodziwe zachowanie się, wtedy gdy już mi mniej serce krwawić będzie; pokazać Mu, że Nim pogardzam, że mówię o Jego zdradzie z najgłębszą obojętnością, że zapomniałam o wszystkich mych rozkoszach i udręczeniach i że nigdy o Nim nie myślę prócz wtedy, gdy zechcę.

Przyznaję, że Waćpan miał wielką przewagę nade mną i żeś mnie zniewolił, iż Cię aż do obłędu pokochałam, ale nie masz się znowu czym tak bardzo pysznić. Byłam młoda, łatwowierna, zamknięto mnie tu w klasztorze od dzieciństwa; widziałam wokół siebie tylko nieprzyjemnych ludzi; nigdy nie słyszałam tego rodzaju pochlebstw, jakimiś mnie Waćpan bezustannie zasypywał; zdawało mi się, że Jemu zawdzięczam ten wdzięk i piękność, którąś we mnie odnajdował, i na którą oczy moje otworzyłeś; słyszałam o Waćpanu li tylko rzeczy pochlebne, czyniłeś Waćpan wszystko, by tylko miłość we mnie rozbudzić. Ale teraz wydobyłam się z tego zaczarowanego koła: Waćpan przysłużył mi się ogromną pomocą, a szczerze się przyznaję, że potrzebowałam jej w najwyższym stopniu. Jeżeli teraz odsyłam listy Waćpana, to te dwa ostatnie, któreś mi napisał, chować i w nich rozczytywać się będę bez końca, daleko gorliwiej aniżeli w pierwszych. To będzie moją obroną przed dawną słabością. Ale jak drogo mnie one kosztują i jak bym

> pragnęła, abyś był zezwolił, abym Cię nie była przestała kochać.



Wnętrze Klasztoru Klarysek w Beja w Portugalii.

“Listy portugalskie” porównano do pięciu aktów klasycznej tragedii. Wzruszająco piękne tworzą historię uczucia kobiety, która zacząwszy od optymistycznej wiary, w końcu widzi jasno swoją pomyłkę: kochała nie mężczyznę, ale miłość samą. “Listy” ceniono od początku za prawdę i za kunszt.

Ale od początku zaistniały też pewne wątpliwości i odzywały się głosy sceptyczne. Krytyk francuski Barbey d’Aurevilly

argumentował z katolickiego punktu rozumienia sytuacji domniemanej autorki. Jego zdaniem taka nienaturalna pasja zakonnicy do mężczyzny musiałaby w relacji autobiograficznej znaleźć odpowiedni kształt czegoś monstrualnego, szalonego i bez precedensu tragicznego. “Listy portugalskie” natomiast krytyk odbierał jako po prostu historię zakochanej kobiety opłakującej opuszczenie kochanka bardzo przypominającą inne historie sentymentalne. Jednak największym sceptykiem okazał się Jan Jakub Rousseau. Jego zdaniem “Listów” nie tylko nie napisała zakonnica, ale nawet żadna inna kobieta. Z jakim triumfem cytuje Przybyszewski słowa tego mizogenisty, aby następnie wytoczyć przeciwko niemu ciężkie działa portugalskiej krytyki.

Rousseau napisał:

> W ogólności kobiety nie ukochały żadnej sztuki, nie znają się na żadnej i nie mają żadnego geniuszu. Coś im się uda czasem w małych rzeczach, które nie wymagają nic innego nad pewną lekkość umysłu, smaku, wdzięku, czasami nawet trochę filozofii i rozumowania. Mogą sobie zdobyć wiedzę, erudycję, talenty i to wszystko, co się zdobywa za pomocą pracy. Ale tego ognia niebieskiego, który rozgrzewa i obejmuje duszę – geniuszu, który pochłania i pożera, tej palącej wymowności, tych przesłodkich ekstaz, które wnikają

> swą rozkoszą do głębi duszy, tego wszystkiego nie znajdziesz w pismach kobiet: są one zimne i ładne, jak ich twórczynie: będziesz podziwiał giętkość i wydatność umysłu, ale nigdy nie natrafisz na ślad duszy. Ujrzysz je sto razy więcej rozdrażnione aniżeli roznamiętnione. Nie umieją one opisać ani czuć miłości…
>
> Mógłbym się założyć o wszystkie skarby świata, że "Listy portugalskie" były pisane przez mężczyznę.

Tymczasem jednak pozory zdawały się mówić co innego. Odkąd Boissonade ogłosił, że na jego egzemplarzu "Listów portugalskich" znajdowała się współczesna notatka podająca nazwisko autorki, inni doszukali się tego nazwiska wśród zakonnic konwentu Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej w Beja. Znaleziono też dowody na to, że Doña Brites była dobrodziejką tego klasztoru w 18 wieku.

W obliczu tych dowodów zgodzono się traktować dziełko za autentyczne, w Portugalii zaś powitano je jako arcydzieło rodzimej literatury i z braku „oryginału" sporządzono przekład na portugalski rekonstruując język epoki. Tymczasem "Listy portugalskie" w języku francuskim nawet najbardziej renomowane biblioteki relegowały do działu przekładów. W patriotycznej euforii dyplomata i historyk literatury Sousa-

Botelho stwierdził, że *„każdy Portugalczyk albo jakikolwiek dobry znawca tego języka ani na chwilę wątpić nie będzie, że te pięć listów prawie dosłownie zostały z portugalskiego oryginału przetłumaczone”.*

Znawca „nagiej duszy”, Przybyszewski opierając się na tych wszystkich argumentach stwierdził dobitnie, że nie można było przyrównać tekstów pisanych przez wyszukanych stylistów epoki z *„tak strasznie szczerymi, pisanymi krwią z bólu oszalałej zakonnicy”*. Dopatrzył się również w “Listach” *„duszy bez obsłonek, bez frazesu, z niesłychaną szczerością i prawdą”*. Cytując słowa Remy de Gourmont, że “Listy” są *„arcydziełem miłości kobiety”* dodał *„i rzeczywiście nie znam w całej literaturze nic, w czym by dusza kobiety tak do naga się odsłoniła w swej bezdennej rozpaczy miłosnej, swej dumie i poniżeniu, w swej zachłanności, zazdrości i pokorze”*.

W oparciu o te wszystkie racje, o pochopnie odczytaną intencję i małą znajomość klasyków francuskich polski satanista doszedł do przekonania, że autorką była istotnie kobieta, i że Rousseau zakład przegrał.

Tymczasem w 1926 roku na scenie pojawił się nowy szermierz o prawdę, profesor F.C. Green. Podważył on szereg twierdzeń tyczących historycznej Marianny Alcoforado i wskazał na rozbieżności w “Listach”. Największą jednak jego zasługą było

odwołanie się do oryginalnego przywileju na mocy którego ukazało się pierwsze wydanie “Listów” z 1668. Nie ma tam wcale mowy o tłumaczu, ale o autorze, którego nazwisko podano jako „Guilleraques”.

Krytyka francuska nie lubiąca ingerencji obcych naukowców w sprawach literatury, nie przyjęła wywodów Greena. Dopiero w roku 1962 uczeni M. Deloffre i M. Rougeot poddali “Listy” badaniom stylistycznym i doszli do wniosku, że charakteryzował je sposób pisania i debatowania pisarzy tworzących salon Madame de Sable, wśród których był także Gabriel de Lavergne, Vicomte de Guilleraques, u schyłku życia ambasador Ludwika XIV w Konstantynopolu. Ponieważ równocześnie wyszło na jaw, że drugie dziełko wymienione w przywileju było autorstwa Guilleragueʼa, a w rozszyfrowanym współczesnym tekście mówi się o nim jako o autorze listów miłosnych, sprawa została definitywnie przesądzona. ”Listów portugalskich” nie napisała portugalska zakonnica Marianna Alcoforado. Nie napisała ich również żadna inna kobieta. Wyszły spod pióra mężczyzny, którego anonimowy druk z 1669 roku określił jako *„przystojnego, o żwawym dowcipie, doskonałego kompana. Cechowała go rozległa wiedza i pisał doskonałe wiersze, a także listy miłosne”*.

“Listy” nie były więc naturalną wypowiedzią miłości i bólu porzuconej zakonnicy z Beja, ale tworem literackiego zamierzenia francuskiego arystokraty. Dotychczasowy nacisk na

autentyzm “Listów” przesłaniał postrzeganie ich znakomitego artyzmu. Teraz nareszcie będzie je można czytać pod kątem widzenia analizy duszy kobiecej oscylującej między nadzieją i rozpaczą, a zdobywającą się w końcu na zaprzestanie korespondencji. Niszcząc piękną legendę, uczeni odsłonili arcydzieło psychologicznej introspekcji i sztuki stylistycznej.

Kiedy w mieście Beja kustosz muzeum opowiadał spokojnie o portugalskiej zakonnicy jako o autorce, której sława obiegła świat, nie oponowałem. Stałem bowiem w miejscu, gdzie żyła legenda. A legendy bywają piękniejsze od rzeczywistości. I trwalsze.

Wielki zamilczany



Jerzy Narbutt

Jerzy Biernacki

Gdyby zapytać licealistę lub nawet studenta polonistyki piątego roku, kto to jest Jerzy Narbutt, obawiam się, że najczęściej nie otrzymałoby się żadnej odpowiedzi. Dźwięk samego nazwiska być może wydawałby się naszemu respondentowi znajomy, ale związany raczej z brzękiem szabel powstańczych niż z literaturą. Jerzy Narbutt po dziś dzień bowiem jest jednym z najszczelniej zamilczanych pisarzy współczesnych, mimo że jego dorobek sięga dwudziestu pozycji książkowych, a każda z nich jest w szczególny sposób znacząca. Autor oficjalnego od 2000 roku hymnu Solidarności (…), specjalnie zaproszony na jubileuszowe zebranie jej regionu mazowieckiego, połączone z koncertem, nie tylko nie doczekał się od tej organizacji jakiegokolwiek wyróżnienia czy pamiątkowego medalu, ale również wykonania swego hymnu (z muzyką Stanisława Markowskiego), wbrew zapowiedziom oraz gotowości artystów, którzy nauczyli się pieśni i zamierzali ją zaśpiewać. Organizatorzy do tego nie dopuścili. – A więc bojkot trwa nadal – szepnął do mnie rozgoryczony pisarz.

Tym bardziej więc jest naszym obowiązkiem przypomnieć oryginalną twórczość i niecodzienną biografię tego twórcy, którego każdy kolejny tom prozy, poezji, eseistyki czy artykułów publicystycznych powinien być wielekroć analizowany, przybliżany czytelnikom i promowany przez krytykę, gdyż jest to (i przyszli historycy na pewno to potwierdzą) jedna z

najważniejszych i największych pod każdym względem postaci literatury i szerzej kultury polskiej, o której czystość i wysoką jakość niestrudzenie się dopomina. Docenił to rozporządzający czułym sejsmografem sfery kultury i cywilizacji Waldemar Łysiak, obdarzając Jerzego Narbutta w jednym z tomów swego „Malarstwa białego człowieka" mianem największego żyjącego myśliciela polskiego.

Prozaik

Sam pisarz największą wagę przywiązywał do swoich utworów prozatorskich, wśród których jest przede wszystkim kilka tomów nowel (pierwszy – „Debiut i inne opowiadania" z 1965 r., potem „W mieście wesele", „Znowu zakwitnie listopad", aż po „Benefis" z roku 2004) i jedyna powieść pod niezwykłym tytułem „Ostatnia twarz portretu", pierwotnie wydana w drugim obiegu w 1981 roku (przy sprzeciwie Wiktora Woroszylskiego, który oskarżył ją o nadmierny patriotyzm!), a ponownie przez opatrznościową dla pisarza katowicką Unię Jerzego Skwary w roku 2002. Wtedy to impuls, zrodzony jeszcze w okresie walki z komuną, zaindukował Krzysztofa Masłonia, krytyka literackiego „Rzeczpospolitej", do napisania bardzo pięknej rekomendacji powieści, do przypomnienia jej niezwykłych walorów (na łamach dodatku „Plus Minus"), co na chwilę przełamało betonową ławę bojkotu pisarza, po czym…wszystko wróciło do normy.

A tymczasem mamy tu do czynienia ze zjawiskiem wyjątkowym. Już ponad dwadzieścia lat temu za takie uznano nowele pisarza, pomieszczone we wspomnianych tomach, takie jak „Bal u senatora", „Druga twarz portretu" czy „Benefis". Pisarz, poprzez swoje osobiste życie integralnie związany z Warszawą, sięgał w nich do miejsc związanych z biografią jego bezpośrednich przodków i po mieczu i po kądzieli, tj. do Kresów, ewokując nastroje, zdarzenia, psychospołeczną atmosferę panującą na tamtych ziemiach w różnych kluczowych momentach polskiej historii. Przy tym momenty te jak gdyby wyłaniają się z historycznej mgławicy, w widzeniu narratora, którym jest dziecko lub niedorosły chłopiec i są efektem rzutowania autora w przeszłość sięgającą daleko przed jego datę urodzenia (na ogół pisze w pierwszej osobie). A jednocześnie to dziecko czy ów chłopiec, niekiedy młodzieniec jest uwikłany w jakiś rodzinny i osobisty dramat, związany albo ze śmiercią rodziców (za którą czuje się jakoś winny?), albo z nieobecnością ojca – łatwo domyślamy się, że zesłanego na Sybir – do którego przeraźliwie tęskni, czy z dziwnym postępowaniem matki. Zdarzenia wyłaniają się i przebiegają jak we śnie. Tak samo jawią się niektóre postacie, pośród których ważna jest babka, ostoja trzeźwego spojrzenia i roztropności, brat (w przeciwieństwie do narratora, zdrów i zdolny do walki, choć w jednym utworze doprowadzony do osłabienia i śmierci wydaje się tragiczny, dopóki nie okazuje się, że to był tylko sen!), stary Hrycio, wierny sługa rodziny (jeszcze ojca narratora wykołysał w swych silnych

ramionach) i wreszcie młody Ukrainiec, Kola, nieco starszy, jak to się dawniej mówiło, prawie „rówiennik” bohatera, którego w chorobie ogrzewa własnym ciałem, ale kiedy indziej potrafi zdradzić, miotany sprzecznymi emocjami to etnicznego, to znów politycznego autoramentu. Miejscem akcji jest najczęściej dwór ziemiański, jego strych pełen zapomnianych pamiątek przeszłości, wieś wokół dworu, z kościołem i plebanią, pejzaż kresowy z jego intensywnymi barwami. Bywa i wspomnienie zesłania, a kulminacją w kilku przypadkach jest przybycie do dworu po raz pierwszy od stu lat polskiego (legionowego) wojska, przeżywane jak olśniewająca iluminacja.

Jest to proza na wskroś nowoczesna, można zresztą wymienić kilka utworów, by tak rzec, czysto groteskowych (jak „Deszcz” czy „Przypowieść”), odbiegających całkowicie od opisanych wyżej klimatów, ale ów generalnie nietradycyjny sposób konstruowania opowieści nie służy jakiemuś rozbijaniu rzeczywistości, a zwłaszcza podważaniu tradycyjnych zasad ludzkiego zachowania się (jak to bywa w prozie Gombrowicza), lecz uintensywnia niejako obraz tej rzeczywistości, czyni go w jakimś sensie ważniejszym, bardziej widocznym, bardziej dotykalnym. Jest to bowiem proza, której źródła są związane z jakąś tajemnicą czy tajemnicami, ale my ich nigdy nie poznamy, skazani na domysł, na własną wyobraźnię, co prawda mocno przez autora rozwibrowaną; proza pełna niedopowiedzeń, pojawień i zniknięć niewyjaśnionych, wieloznaczności wnętrza

głównej postaci. Jednoznaczny jest tylko duch tych opowieści, całkowicie i niewątpliwie polski, całkowicie i niewątpliwie niepodległy, wolny tą polską wolnością, o której marzyli wieszczowie romantyczni, a która właśnie w tych opowiadaniach (niekiedy) się ziszcza.

Jeśli miałbym szukać jakichś, choćby odległych, paralel dla nowelistyki Narbutta, to mógłbym odwołać się, ale tylko w niektórych przypadkach, do nowelistycznej prozy Cypriana Kamila Norwida: u obu autorów odnajdujemy przenikanie się dwóch planów: przyrodzonego i nadprzyrodzonego, „fizyki" i metafizyki, a poza tym w podobny sposób traktowana jest problematyka postaw moralnych. Proza Narbutta wyróżnia się przy tym jeszcze swoistą gęstością poetyckich sformułowań, muzycznością czy rytmicznością zdań (niekiedy brzmiących jak w wierszu, a nie w prozie), niezwykłą trafnością rozmaitych trzeźwych sądów i myśli, zwłaszcza gdy padają w otoczce wspomnianej oniryczności. Konkret wywiedziony jak gdyby ze snu, dotykalność przedstawionych scen, które w strzępach pozostają w pamięci, a także postaci, również tych marginalnych, jak owa ciotka Emilia ulegająca chwilowej pokusie erotycznego przeżycia z młodziutkim bohaterem (i jego dwubiegunowa reakcja na to: wysoka temperatura podniecenia połączona z obrzydzeniem), składają się na ten osobliwy konglomerat, z którego z łatwością wyłuskujemy skład zasad drogich autorowi, w którym piękno, dobroć, prawda, wiara, nadzieja i miłość są

najważniejsze.

Podobne cechy odnajdujemy w mniej licznych opowiadaniach (i mini-esejach) o tematyce włoskiej, tak bliskiej autorowi „Tęsknoty za Wenecją", wzdychającego jakże często za „felice Italia". Mniej w nich wprawdzie tajemnic, za to nie mniej subtelnych nastrojów, sublimacji uczuciowych, więcej zdarzeń związanych z „wiekiem męskim, wiekiem klęski" (bo tu już narrator czy sam autor nie jest dzieckiem, lecz dojrzałym mężczyzną), a przy tym zachwyca jakieś niemożliwe zdawałoby się pogodzenie sprzeczności: trzeźwości spojrzenia na te miejsca ukochane przecież jakże gorącym uczuciem. Jak w tym fragmencie podsumowującym odczucie Wenecji: *I właśnie te dwa doznania stanowią o niepowtarzalności przeżycia, jakie daje Wenecja. Urok morza z urokiem nierealnego theatrum. Kamienna wizja pośród wodnego żywiołu. Gdzie takie drugie miasto na świecie?*

A że niektóre kanały na zapleczu cuchną? Nie spotkałem jeszcze pachnących kulis. („Wenecja", w rozdziale „Wspomnienia włoskie", w tomie „Wyrzucony na brzeg życia", Katowice 2005).

Metodą „nowelową" napisana jest również jedyna powieść Narbutta „Ostatnia twarz portretu", to znaczy przy zachowaniu wszystkich czy prawie wszystkich cech jego prozy opowiadaniowej, ale ciągłość narracji, ewolucja postaci,

szczególnie jednego z dwóch głównych bohaterów, zawiłości i nieoczekiwane zwroty losów innych osób (zwłaszcza kobiet, niekiedy bezimiennych), wreszcie poważne wymierzanie sprawiedliwości widzialnemu (i zarazem ginącemu) światu, „tak strasznie sfałszowanemu" (ks. prof. Janusz Pasierb) – wszystko to nadaje jej wyrazistą cechę epickości. Odnajdujemy w niej te same nastroje, uczucia i pragnienia indywidualne, co w nowelach, dotyczące poszczególnych postaci, w związku z rozwojem ich charakterów i zdarzeń w ich życiu. Tu również, jak tam, nie wiemy czasem, skąd i dlaczego pojawia się ta lub inna postać i domyślamy się jedynie, dlaczego to właśnie, a nie co innego z nią się dzieje, przy czym cały czas mamy do czynienia z rosnącym napięciem dramatycznym, czy też raczej zwiększającym się stopniem narastającego tragizmu (nie mylić z tzw. suspensem, bo nie o to chodzi). Dodajmy, że rzecz dzieje się (w ten sposób) w czasie podwójnej okupacji po 1939 roku, w Warszawie, w miastach kresowych, w Krakowie, a także na prowincji (w leśniczówce i gdzie indziej), a chodzi w głównym nurcie o „portret" pokolenia Polski walczącej. Próżno by jednak szukać jakichś scen zbiorowych, jakichś walk, to jest zdecydowanie portret wewnętrzny, zindywidualizowany, oparty na kilku postaciach i relacjach między nimi, obraz postawy i losu polskiego, jego psychologii i wyrazu społecznego, co sprawia, że rzecz jest zarazem lokalna i uniwersalna.

Pisarz w naturalny sposób wtapia w tę powieść scenę

rozgrywającą się między Mościckim, Śmigłym i Beckiem, na moment przed przekroczeniem granicy Polski we wrześniu 1939 roku, dążąc do sprawiedliwego werdyktu i dostrzegając zarazem jedyny w swoim rodzaju dramat tych postaci. Charakterystyczne, że ocena Śmigłego wypada mniej surowo niż ocena Becka, przy czym nie chodzi naturalnie o jego słynne przemówienie sejmowe, lecz o zachowanie podczas kampanii wrześniowej. Książkę wieńczy tragiczna scena palenia munduru, w symboliczny sposób ukazująca dyferencję postaw, a zarazem jak gdyby przekazująca treść ostatniego rozkazu gen. Leopolda Okulickiego rozwiązującego Armię Krajową, mimo że w książce nie ma o tym mowy.

Tuż po wznowieniu powieści w 2002 roku napisałem, że jest to arcydzieło polskiej prozy współczesnej; po ponownej lekturze potwierdzam to w całej rozciągłości, jakkolwiek nie umiem (jak widzę) tego udowodnić. Ale czy można w ogóle dowieść, że jakiś utwór jest arcydziełem? To się po prostu wie.

W powieści jest także interesujący wątek żydowski, krawca Cyngielbluma; jego wzruszająca troska o chudnącego stale bohatera więcej mówi o stosunkach między obu narodami przed wojną, niż wszystkie oskarżenia o pogromy (to raczej specjalność rosyjska) i antysemityzm. Stach jest bezradny, jeśli chodzi o ratowanie Cyngielbluma i jego rodziny z getta, gdzie go znajduje i gdzie dowiaduje się, jaki krawcowi przyśnił się sen: oto –

opowiada – jestem przed wojną na Krochmalnej i widzę napis: Precz z Żydami! – Czy ty możesz to zrozumieć?! – zwraca się do żony. – Tylko napis!

Poeta

Dysponujemy jedynie niespełna osiemdziesięciostronicowym tomikiem, zatytułowanym charakterystycznie „Trochę wierszy” (wyd. w 1997 roku). Wierszy, które autor zaczął pisać dopiero po pięćdziesiątce, zadziwiając nie tylko ś.p. ks. prof. Janusza Pasierba, który napisał w jednym z listów do autora, że dziwi się, iż chce mu się pisać wiersze, gdy ma tak świetną prozę (miał na myśli właśnie „Ostatnią twarz portretu”). Jak większość wydań Narbutta, wiersze te przeszły również bez echa, co wystawia jedynie złe świadectwo zwiędłej w Polsce po 1989 roku krytyce literackiej. Są one bowiem znacznie mniej skromne w swej poetyckiej skali i wartości niż tytuł tomiku. Ich specyfiką jest – *sit venia verbo* – rozumność, powściągliwość, ukrywanie ważnych czy nawet wielkich znaczeń pod przykrywką zdawałoby się zwykłych i skromnych słów, jest tutaj ton osobisty i ton obywatelski. Są świadome nawiązania do Norwida (*Byłem u Ciebie w te dni bardzo czarne* – „Pużak”) i może mniej świadome przetworzenia poetyki Norwidowskiej. Są wiersze krótkie, zwarte, jak jedno rozświetlenie mroku, i są poematy, jak np. „Michał Anioł siedem razy” czy „W dawnym stylu”. Jest to poezja, której się nie czyta, lecz z którą się obcuje, wracając

wielokrotnie do poszczególnych wierszy, by odkrywać na nowo ich treść i własną Narbuttową formę, bez której ta treść nie byłaby tym, czym jest. I jest w nich cały ten nietradycyjny tradycjonalista, jak w wierszu „Pomnik Powstania Warszawskiego”, nawiązującym, oczywiście, do Borowskiego, ale w całkowitym sprzeciwie wobec jego przeświadczeń:

> Zostanie po nas miasto gruzów
>
> i barykada z naszych ciał,
>
> zostanie po nas kpina głupców,
>
> płacz matek i litania skarg
>
> i pozostanie niepodległa
>
> miłość wolności – i ta jedna
>
> urośnie w pomnik, w krzyk kamienny,
>
> co zerwie naród, aby wstał
>
> i by zrozumiał jaki cenny

> był nasz rozumny szał.

Miłośnicy czystej, osobistej liryki też nie powinni być zawiedzeni, choć przeważa, jak to u Narbutta, poezja odpowiedzialnej walki o imponderabilia, w stylu *Patrz na usta relatywistom, ich język, to wieża Babel (…)* Odpowiednie daje rzeczy słowo.

Kiedy jesteśmy przy poezji, trzeba też wspomnieć o „Czarnym królu”, wierszowanej dwuaktówce zamieszczonej w tomie „Benefis”, napisanej językiem z epoki Jana Chryzostoma Paska, w której wszakże chodzi o sprawy ważne również dzisiaj, m.in. o kwestie władzy i zróżnicowanego do niej stosunku Polaków, z czego wynikło w historii i może nadal wynika sporo nieszczęść. Niestety, rzecz sceniczna, barwna, kostiumowa idealnie nadająca się do Teatru Telewizji, nie znalazła uznania w oczach jego kierownictwa, zezującego na reklamodawców. To oni dziś określają jakość telewizji, zwanej publiczną chyba tylko z przyzwyczajenia.

Eseista i publicysta

Napisałem: wielki zamilczany. A nie napisałem: dlaczego.

Wyjaśnienie tego zjawiska jest niemalże takie samo, jak w przypadku książek publicystycznych Waldemara Łysiaka, które są czytane powszechnie, lecz ignorowane przez kręgi opiniotwórcze w polskojęzycznych (a niekoniecznie polskich) mediach. I wyjaśnienie to można znaleźć w licznych książkach Jerzego Narbutta zawierających eseje literackie i artykuły publicystyczne, przedtem drukowane w czasopismach. Z tym, że o ile książki Łysiaka, o których mowa, są najczęściej ostrymi pamfletami (zawierającymi zresztą wiele prawd niepoprawnych politycznie), co zapewnia im poczytność mimo braku promocji, to eseje i publicystyka Narbutta jest wchodzeniem w poważny spór nie tylko z ideowymi przeciwnikami, lecz czasem z reprezentantami tego samego światopoglądu, w których postawie jednak czy w pracach autor dostrzega niebezpieczne zaniechania, zamazania, dysproporcje itp. Dla siebie – Narbutta jako myśliciela, ucznia znakomitego „Tatara" (prof. Władysława Tatarkiewicza, którego sam sobie wybrał na mistrza), eseistę i publicystę (z konieczności łączę te dwie formy, choć należałoby je omawiać osobno) – nazywam „strażnikiem ładu moralnego". A można by do tego dodać także ład estetyczny, ład psychologiczny, społeczny i kilka innych postaci ładu, z których pewni ludzie (szczególnie lewica i liberałowie, a także kosmopolici) niekiedy rezygnują, na rzecz bałaganu (np. myślowego, w którym buszują schematy i stereotypy), różnego rodzaju zaniedbań, dysproporcji, braku rozróżnień itp. Autor jasnymi słowy zwalcza wszelką sub- i kontrkulturę, na rzecz

kultury *tout court*, wszelkie sitwy i koterie, jako narośla rakowate na ciele danej społeczności, irenizm i dynamiczny fanatyzm (raczej lewicowy niż prawicowy, choć endecji nie znosi, a kocha i ceni Piłsudskiego), występuje przeciw wszelkiej sztucznej poprawności na rzecz prawdy i prawdziwości, jest jednoznacznym niepodległościowcem i uważa jak Jan Paweł II, że wolność jest zadaniem.

W pewnym momencie zarzucił pisanie prozy literackiej na rzecz prozy dyskursywnej, walczącej o to, co nazywa się właściwym porządkiem rzeczy. To znaczy takim, w którym jest miejsce na tradycję, na to, co w niej najcenniejsze, gdzie króluje prawda i miłość, a nie interes i hucpa. Sztuka przetrwa („pieśń ujdzie cało") – rozumował, a różne ważne imponderabilia wymagają obrony, gdyż od pewnego czasu najlepiej na świecie mają się wieczni rewolucjoniści, którzy uważają, że wszystko polega na zmianie, podczas gdy warunkiem trwania człowieka jest właśnie niezmienność ładu świata. Oni są niebezpieczni, a jeszcze bardziej niebezpieczni są ci, którzy mimowiednie ich wspierają lub im się nie sprzeciwiają. Naturalnie, nie znaczy to, że każda zmiana jest zła. Ale nie może naruszać podstaw.

Styl tej logomachii jest niesłychanie czysty, krystaliczny, rozróżnienia, zachowywanie proporcji, precyzja określeń – wzorcowe, jak gdyby autor pokazywał w swojej stylistyce to właśnie, o co mu chodzi, żeby było u innych. Można się w jakimś

szczególe z nim nie zgadzać, ale tej czystości i precyzji dowodzenia i perswadowania odmówić mu niepodobna.

Nikomu nie trzeba tłumaczyć, że taki pisarz, który nie tylko „atakuje” krytycznym słowem komunę, ludzi pokroju Kuronia czy Michnika, ale także Pascala za sprzyjanie jansenizmowi, czy ś.p. ks. Bronisława Bozowskiego za to m.in., że jak mawiał miał 1500 przyjaciół (!), w ujęciu miłośników poprawności politycznej, jest niebezpiecznym przeciwnikiem, którego najlepiej zamilczeć. I tak się stało.

Tym bardziej, że Narbutt ma jeszcze jedną wadę: czysty życiorys, nigdy nie dał się uwieść PRL-owskim „powabom”, od 1945 roku świadomie uczestnicząc we „froncie odmowy” (który sam sobie wymyślił, bo niestety frontu jako takiego nie było, tylko pojedyncze przyczółki: Herbert, Narbutt, Jerzy Braun, Grzędziński i może dwóch-trzech jeszcze). A tego dzisiaj w Polsce i na świecie się nie wybacza. Dlatego debiutował dopiero sporo po trzydziestce, nie skalał się też pisaniem do prasy PAX-owskiej. Pisał:

> Mam tylko gołe ciało moje i to życie w prawdzie
>
> co nie ułatwia życia. To życie w prawdzie,

> z którego się natrząsają, szturchając się łokciami
>
> i zwą mnie ironicznie: „Nasz książę niezłomny…”

Rzecz jasna, taka postawa ma swoją cenę, w przypadku Narbutta jest to, jak sam napisał, wyrzucenie na brzeg życia, a ponadto skrajne ubóstwo, życie przez wiele lat w nie ogrzewanej norze i zwyczajny, wstrętny, niepokonany głód. I kompletna niemal cisza nad jego książkami. Ale Księciem Niezłomnym jest bez ironii i autoironii, Księciem słowa, mówiącego prawdę z miłością (lub przynajmniej z wyrozumiałością, której nie ma tylko dla występnych), słowa, które jest jak czyn. To najwyższa miara.

Ramka

Jerzy Narbutt urodził się w Warszawie 12 października 1925 roku. Wywodzi się z rodziny ziemiańskiej z Kresów północno wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Jego dziad Ferdynand był uczestnikiem Powstania Styczniowego, a ojciec Antoni reaktywował na krótko i był redaktorem naczelnym Lelewelowskiego jeszcze „Tygodnika Wileńskiego” (przed wybuchem I Wojny Światowej). W rodzinie matki, Stanisławy z książąt Glińskich, było kilku literatów i publicystów. Rodzinne

gniazdo Narbutta to Szyrwinty, majątek ziemski po stronie Litwy Kowieńskiej. Świadectwa rodzinne z Kresów i jeden wakacyjny pobyt w okolicach Kostopolu zadecydowały o kresowej tematyce wielu jego utworów literackich. Większość życia spędził w Warszawie, gdzie przeżył i Wrzesień 1939 roku i Powstanie Warszawskie. Zaprzyjaźniony z młodymi uczestnikami konspiracji (m. in. z Tadeuszem Zawadzkim – „Zośką"), sam nie mógł uczestniczyć w walce z powodu słabego zdrowia (nazywa siebie „zdechlakiem").

Przypisywane mu niekiedy w biogramach uczestnictwo w Szarych Szeregach i w walkach powstańczych nie jest więc prawdą, co sam wielekroć prostował. Po 1945 roku przez sześć lat ukrywał się, zagrożony poborem do ludowego wojska (orzeczono, że jest zdolny do służby, mimo chorób trapiących go od dzieciństwa). Wreszcie aresztowany i osadzony w więzieniu, wychodzi dzięki amnestii. Debiutuje dopiero w 1957 r. na łamach „Tygodnika Powszechnego", którego kierownictwo i większość zespołu nie akceptuje go z powodu poglądów, patriotyzmu i ewangelicznego radykalizmu (m.in. stale musiał występować w obronie krytykowanego przez nich Prymasa Tysiąclecia). Współpraca, w związku z tym nader kulawa, trwa kilkanaście lat. Studiuje (najpierw po wojnie, potem po 1956 roku) jako wolny słuchacz u prof. Władysława Tatarkiewicza, jest najlepszym recenzentem jego fundamentalnej książki „O szczęściu", Profesor wyróżnia go przyjaźnią, aż do swej śmierci. Prześladowany za

działalność opozycyjną, w grudniu 1975 r. objęty zostaje zakazem druku, powodem bezpośrednim stało się podpisanie przezeń „listu 59-ciu", przeciwko zmianom w Konstytucji. Publikuje w pismach drugiego obiegu takich jak „Zapis", a poza tym w „Spotkaniach", „Opinii" i „Rzeczpospolitej". Członek Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania Zbigniewa i Zofii Romaszewskich przy NSZZ Solidarność. Autor tekstu hymnu Solidarności. W latach stanu wojennego ponownie ukrywa się, tym razem przed internowaniem, m.in. w klasztorach w Serpelicach i Lubartowie. Członek dawnego ZLP, a obecnie SPP i P.E.N. Clubu. Od 1988 r. publikuje felietony i eseje w „Ładzie" (aż do jego upadku w 1994 r.), w „Naszej Polsce" (do 1999) i w „Tygodniku Solidarność". Jest laureatem nagrody im. Leszka Proroka, nagrody m.st. Warszawy, posiadaczem lauru poetyckiego „Białego Pióra" w Płocku, nagrody specjalnej ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Zamrł w 2011 roku w Warszawie.

Książki (poza już wymienionymi w tekście): „Uciec z wieży Babel" (Arcana, Kraków 1999), „Awantury polemiczne" (2000), „Od Kraszewskiego do Parnickiego" (2000) „Spory o słowa, spory o rzeczy (2001)", „Dwa bunty" (2003) i „Wyrzucony na brzeg życia" (2005). Wszystkie pięć wydane przez „Unię" w Katowicach, ostatnia z inicjatywy prof. dr. Ryszarda Szawłowskiego. Przedtem wydał ponadto: „List nie wysłany pocztą" (1975), „Sól ziemi" (1980), „Nasz jest ten dzień" (1981), „Druga twarz portretu" (1982), „Z ziemi polskiej, z ziemi włoskiej" (1983), „Szkice historyczne" (1984).

„Powrót Norwida” z okazji Jubileuszu Kazimierza Brauna.

Kazimierz Braun

Powrót Syreny



reżyseria:
Kazimierz Braun i Tomasz A. Żak

TEATR NIE TERAZ

Tarnów, Ratusz, 22 i 23 października godz. 18.00

Projekt współfinansowany przez Narodowe Centrum Kultury

AKCENT STUDIO
DESIGN & PRODUCTION

NARODOWE CENTRUM KULTURY

„Powrót Norwida” to zaskakująca opowieść o starym umierającym człowieku, odnalezionym w jakimś miejskim zaułku. Wszystko wskazuje, że utracił pamięć, choć z uporem twierdzi, że nazywa się Norwid – Cyprian Kamil Norwid. Ale przecież ten Norwid umarł w przytułku w Paryżu w roku 1883? Ten dziwny człowiek trafia do hospicjum, a policja zajmuje się ustaleniem jego tożsamości…

„Powrót Norwida” to wyprawa w świat prawdziwie romantyczny i polski, gdzie miłość znaczy miłość, a honor wyklucza zdradę. Umieszczony w hospicjum człowiek pamięta wszystko, a siła jego wspomnień jest tak wielka, że zmienia rzeczywistość. To trochę tak, jakby z namalowanego obrazu schodzili do nas żywi ludzie, by potem zabrać nas ze sobą na drugą stronę.

Ten spektakl to również bolesna diagnoza polskiej emigracji, wymuszanej od pokoleń głupotą rządzących czy okupacjami, brakiem wolności, ale także zwykłą biedą. W ten sposób wciąż jesteśmy pozbawiani najwartościowszych ludzi, w tym twórców i artystów. I kiedy w końcu do nas wracają, to najczęściej w trumnach, bywa, że ekshumowani po latach. Ale ci – można powiedzieć – mają i tak szczęście, którego zabrakło Norwidowi, bo on nie ma nawet swego grobu.

***

„Powrót Norwida” został zrealizowany przez pozainstytucjonalny Teatr Nie Teraz w adaptacji jego dyrektora, Tomasza A. Żaka. TNT to jeden z teatrów nurtu alternatywnego, znany ze swych inscenizacji odwołujących się do tradycji narodowych, patriotycznych oraz do chrześcijańskich korzeni Europy (np. „Niewierni” wg Calderona de la Barca, autorskie „Ballada o Wołyniu” i „Wyklęci” czy „Dzień gniewu” Romana Brandstaettera).

Spektakl reżyserują – Kazimierz Braun i Tomasz A. Żak, a premiera odbyła się 22 i 23 października 2016 r. w renesansowych wnętrzach staromiejskiego Ratusza w Tarnowie.

***

Przedstawienie zostało wystawione z okazji przypadającego w 2016 roku potrójnego jubileuszu Kazimierza Brauna – 80-lecia urodzin, 55-lecia pracy teatralnej i 45-lecia pracy akademickiej.

Kazimierz Braun rodzinnie i emocjonalnie jest związany z Tarnowem. Tu mieszkał jego ojciec Juliusz, tu działał jego stryj Jerzy (autor słynnej harcerskiej pieśni „Płonie ognisko w lesie”), którego imię nosi tarnowskie Gimnazjum nr 4. Marzeniem prof. Brauna było więc swój jubileusz obchodzić właśnie w Tarnowie. Ze względu na związki z Tarnowem otrzyma on honorowe obywatelstwo miasta Tarnowa.

Kazimierz Braun jest wybitnym znawcą twórczości Cypriana Kamila Norwida. Swoją drogę teatralną rozpoczął od napisania pracy dyplomowej pt. „Koncepcja teatru Norwida”. Jest też najważniejszym inscenizatorem norwidowskich dzieł, zarówno na scenie klasycznej, jak i w teatrze telewizji. O teatralnych pracach odwołujących się do twórczości „czwartego wieszcza” napisał książkę „Mój teatr Norwida”.

Na podstawie: *Tarnów. Premiera „Powrotu Norwida” w Teatrze Nie Teraz*, www.teatrdlawas.pl

---

„Było we mnie wiele tożsamości

dramatycznych”. Bogdan Czaykowski (1932-2007).



Bogdan Czaykowski

Bożena Szałasta-Rogowska

W jednym z ostatnich wierszy Bogdan Czaykowski napisał:

> Nie można wszystkich objąć
>
> Nawet gdybyś chciał
>
> Nie można wszystkich dotknąć
>
> Nawet gdybyś się rozszarpał
>
> Na miliard skrawków skóry

Ta racjonalna skądinąd deklaracja świadomości porażki poznania całościowego nigdy jednakże ani w przestrzeni twórczości, ani w życiu Bogdana Czaykowskiego nie przekreślała nieustannie podejmowanych prób dotarcia do istoty rzeczy, zbadania sensu istnienia czy po prostu zdobycia jak największej ilości doświadczeń. Kierując się tą myślą, warto więc, pomimo wiedzy, że będzie to Różewiczowski „zawsze fragment", odważyć się na krótkie sportretowanie osoby i dorobku jednego z najwybitniejszych polskich poetów współczesnych, którego „maski nie są na ukrycie" (*Wyznania aferzysty*), a problem jawnie tematyzowanej biografii wespół z kwestią ciągle

dookreślanej tożsamości stanowi chyba najważniejszy motyw poezji.

Bogdan Czaykowski urodził się 10 lutego 1932 roku w Równem na Wołyniu. W 1940 roku jako ośmioletnie dziecko został wywieziony wraz z rodziną do Związku Radzieckiego, gdzie przebywał kolejno w obozie w okolicach Wołogdy, w kołchozach w Kujbyszewie i koło Samarkandy, w Kermine i w Aszchabadzie. W 1942 roku wyjechał z polskim sierocińcem do Meszhedu w Persji, a następnie do Indii. W latach 1942-1946 przebywał w Jamnagar, gdzie ukończył polską szkołę powszechną i zaczął pisać pierwsze wiersze. Następne dwa lata spędził w obozie w Valivade, tam też uczęszczał do polskiego gimnazjum i tłumaczył na język polski *Gitanjali* Rabindranatha Tagore. W 1948 roku wraz z matką dotarł do Wielkiej Brytanii, gdzie kontynuował naukę i zdał egzaminy maturalne (angielski w 1950 roku, polski rok później). Następnie studiował historię nowożytną w dublińskim University College, zaś w latach 1955-59 polonistykę w School of Slavonic and East European Studies. W 1955 roku zadebiutował też jako poeta na łamach londyńskiego miesięcznika studenckiego „Merkuriusz Polski” i paryskiej „Kultury”. W następnym roku jeden z najbardziej znanych utworów Bogdana Czaykowskiego *Bunt wierszem* pojawił się też w krajowym „Po prostu”. W czasach studenckich Bogdan Czaykowski był związany z działającą w Londynie grupą poetycką, do której należeli obok Niego między innymi Andrzej

Busza, Adam Czerniawski, Florian Śmieja, Bolesław Taborski i Janusz Artur Ihnatowicz. W latach 1960-1962 był nawet redaktorem naczelnym pisma tej grupy – miesięcznika „Kontynenty". Jeszcze w Anglii Czaykowski wydał swoje trzy pierwsze tomiki poetyckie (*Trzciny czcionek* – 1957, *Reductio ad absurdum i przezwyciężenie (dialektyka wiersza)* – 1958 i *Sura* – 1961), natomiast w 1962 wyjechał do Kanady, gdzie otrzymał propozycję objęcia stanowiska wykładowcy języka i literatury polskiej na University of British Columbia w Vancouver. Z Uniwersytetem Brytyjskiej Kolumbii był czynnie związany do 1997 roku, prowadząc wykłady nie tylko z języka i literatury polskiej, ale też z historii Europy Środkowo-Wschodniej oraz literatury wschodnioeuropejskiej w przekładach. W latach 1971-1988 był też kierownikiem slawistyki na tymże uniwersytecie, a w latach 1995-97 kierownikiem Programu Studiów Europejskich. Zmarł 16 sierpnia 2007 roku po ciężkiej chorobie w Vancouver w Kanadzie.

Bogdan Czaykowski był poetą, tłumaczem literatury polskiej, kanadyjskiej, rosyjskiej i angielskiej, krytykiem literackim, antologistą, eseistą, historykiem, prozaikiem, wieloletnim wykładowcą uniwersyteckim i organizatorem życia literackiego kanadyjskiego środowiska polonijnego. Wydał w sumie dziesięć zbiorów wierszy, w tym *Spór z granicami* (Paryż 1964), *Wiatr z innej strony* (Kraków 1990), *Okanagańskie sady* (Wrocław 1998) oraz dosłownie na kilka miesięcy przed śmiercią *Ziemioskłon*

(Toronto 2007) i *Jakieś ogromne szczęście. Wiersze wybrane z lat 1956-2006* (Kraków 2007) – tom, który w kwietniu 2008 roku został nominowany do nagrody w konkursie o „Śląski Wawrzyn Literacki”. Utwory Bogdana Czaykowskiego znalazły się też w wielu antologiach, między innymi w *Rybach na piasku* (Londyn 1965), *Opisaniu z pamięci* (Warszawa 1965) czy *The Burning Forest* (Newcastle 1987). Bogdan Czaykowski jest też autorem *Antologii polskiej poezji na obczyźnie, 1939-1996* (Warszawa-Toronto 2002) oraz licznych przekładów poezji polskiej na język angielski, w tym (z Andrzejem Buszą) Mirona Białoszewskiego *The Revolution of Things* (Waszyngton 1974) oraz *Gathering Time: Five Modern Polish Elegies* (Mission 1983). Ogłosił liczne prace krytycznoliterackie (po polsku i po angielsku), między innymi o twórczości Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Cypriana Kamila Norwida, Czesława Miłosza czy Adama Czerniawskiego. Bogdan Czaykowski był także laureatem wielu prestiżowych nagród między innymi im. S. Strońskiego (1959), Nagrody Młodych Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (1960), Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1964), im. K. Wierzyńskiego (1969), Fundacji im. Turzańskich (1992) czy Killam Prize for Excellence in Teaching (1996).

Spośród wielu zarówno prywatnych, jak i społecznych ról pełnionych przez Bogdana Czaykowskiego najciekawszą i najistotniejszą, a chyba także przez Niego samego cenioną najbardziej, było „bycie poetą”. Właśnie tak: „bycie poetą”! Nie,

„granie poety”, „bywanie poetą” czy „pisywanie wierszy”. Bogdan Czaykowski pojmował poezję bardzo szeroko, obejmując tą zaszczytną nazwą nie tylko obszary lingwistycznej estetyki, ale też, jak pisał w odpowiedzi na ankietę *Po co piszę*?

> Akty dobroci, akty mądrości, akty szczęścia, miłości, lubienia, akty czaru i powagi rzeczywistej, współczucia i zrozumienia, wyrzeczenia i przebaczenia, bezinteresownych darów, uśmiechu i radości należą do dziedziny poezji w jej rozciągłości najszerszej. Nie jest dobrze, kiedy tworzymy ją tylko w słowach. Być chłonnym, czułym, słuchającym i słyszącym, patrzącym i widzącym, to już dużo.

Poezję rozumianą w ten sposób traktował niezwykle serio i pomimo zagarnięcia w jej krąg wielu dziedzin, nie pozwalał na szastanie tym słowem. Pamiętam, jak się żachnął, kiedy podczas kolacji w Vancouver jeden z jej uczestników użył określenia „poezja smaku”, degustując kawałek sera *gruyere*… Nie obyło się wówczas bez dokładnych wyjaśnień sensu i kontekstu tejże metafory, która całkiem przypadkiem z resztą zainicjowała fantastyczną rozmowę o ontologii poezji.

Bogdan Czaykowski jako poeta świadomie wybrał język polski, choć mógł przecież tworzyć także w języku angielskim, był bowiem doskonale dwujęzyczny. Jego, tworzona przez przeszło

pięćdziesiąt lat, poezja ewoluowała od romantycznego buntu przeciwko niezawinionej krzywdzie dzieciństwa, poprzez dramatyczne próby dookreślenia własnej, rozumianej wieloaspektowo tożsamości, poprzez motywy podróży, tułaczki czy bezdomności do ukojenia rozedrganych nerwów w pejzażu kanadyjskim, by w ostatnim okresie wkroczyć na obszar paradoksalnie optymistycznej elegijności i transcendencji.

Wiersze te powstawały w rożnych okolicznościach. Bogdan Czaykowski opowiadał kiedyś o wersach zapisywanych nawet na odwrocie biletu kolejowego… Ostateczny kształt utworu, który miał zaprezentować czytelnikowi, był przedmiotem Jego niezwykłej troski nawet w obliczu wyroków ostatecznych. W ostatnich miesiącach życia, pokonując ból, dokonywał korekty nowych, niepublikowanych dotąd wierszy, mających się ukazać w podsumowującym jego dorobek wyborze *Jakieś ogromne szczęście*.

Mieszkając w Kanadzie pisał „Miejsce jest nieistotne / miejsce w ogóle jest nieistotne (*Miejsce i czas*), w *Okanagańskich sadach* określał siebie mianem „ziemca”, wyrzekając się wąsko rozumianej tożsamości etnicznej, dostrzegał bogactwo wielokulturowości, podkreślał postawę otwartości i tolerancji, ale jednocześnie bezustannie propagował kulturę polską zagranicą, stworzył polonistykę na Uniwersytecie Brytyjskiej Kolumbii, analizował ze swoimi studentami wiersze Miłosza, Herberta,

Leśmiana, napisał podręcznik do nauki języka polskiego jako obcego, tłumaczył poezję polską na angielski…

Oczywiście można teoretycznie zastanawiać się, jakie miejsce przypadłoby poezji Bogdana Czaykowskiego, gdyby przyszło Mu tworzyć w Polsce, a nie na emigracji. Być może zmianie uległaby wówczas problematyka wierszy, nieznacznie zmieniła się akceptowana tradycja literacka czy lekko przygasłaby wyostrzona znaczeniowo dzięki codziennemu kontekstowi języka angielskiego leksyka wierszy… Jednakże, jak sądzę, jedno stwierdzenie pozostałoby niezmienne niezależnie od miejsca zamieszkania autora – Bogdan Czaykowski był jednym z najoryginalniejszych polskich poetów tworzących po II wojnie światowej.

Wokół

angielskojęzycznych książek Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm



Aleksandra Ziółkowska-Boehm w swoim domu w Wilmington, fot. arch. AZB.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Pani książki są już od dawna dostępne w anglojęzycznym świecie. Zaczęło się od Kanady. Proszę przypomnieć historię związaną z opublikowaniem Pani pierwszej książki po angielsku.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm: W 1981 roku przyjechałam do Toronto na roczne stypendium Kanadyjsko Polskiego Instytutu Badawczego i Fundacji Reymonta. Niebawem zaczęłam pracę przy książce poświęconej pierwszemu w historii senatorowi polskiego pochodzenia, który zasiadł w senacie kanadyjskim. Wcześniej został pierwszym ministrem wielokulturowości, którą premier Trudeau ogłosił w 1971 roku jako politykę rządu. Był człowiekiem dużej kultury i wielkich zasług także na rzecz Polonii i Polski. Przyczynił się (jako lekarz) do wprowadzenia udoskonalenia w szpitalu w Zakopanem specjalistycznych operacji kręgosłupa przeprowadzanych u dzieci dotkniętych skoliozą. Miał wielkie zasługi dla katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Senator Haidasz czynnie się włączył w książkę na swój temat, użyczył mi materiałów, czasu i pełnego poparcia.

J.S-G: W Kanadzie zastał Panią stan wojenny i czy wtedy przedłużyła Pani pobyt o kolejne półtora roku?

A.Z-B: Tak właśnie zrobiłam. W tym czasie Ministerstwo Kultury Ontario (*Ontario Ministry of Citizenship and Culture*) ogłosiło konkurs na książkę o emigrantach. Wysłałam 30 stron tekstu n.t. polskich emigrantów i konspekt, przywołałam znane nazwiska, np. dziennikarza radiowo-telewizyjnego Petera Gzowskiego, byłego polskiego konsula Tadeusza Brzezińskiego, Jesse Flisa – wieloletniego członka Parlamentu Kanady i wielu innych. Pisałam, że chcę pokazać emigrantów, którzy dużo osiągnęli, jak i tych, którzy z różnych przyczyn nie są zadowoleni. Aby powstała pełna mozaika i obraz prawdziwy.

J.S-G: Okazało się, że konkurs wygrały trzy osoby: Japończyk, Ukrainiec i Pani.

A.Z-B: Ucieszyłam się, ale niebawem powiedziano mi, że nie mogę otrzymać tego stypendium, bo nie jestem … Kanadyjką. W czasie rozmowy rozżalona mówiłam, że mam wielki entuzjazm do tego projektu i uważam, że cofnięcie stypendium to swoista niesprawiedliwość. Poskutkowało, bo powiedziano mi, że chcą je zatrzymać dla mnie, ale muszę znaleźć stowarzyszenie lub organizację, która podpisze zobowiązanie, że jeżeli nie napiszę książki i wrócę do Polski, to stypendium zostanie zwrócone. Okazało się, że Polonia odpowiedziała serdecznie, bardzo ładnie

zareagowało Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Kanadzie, które takich gwarancji udzieliło.

Dostałam roczne stypendium, osobne fundusze na podróże, i zabrałam się z radością do pracy. Książka dostała także od Ontaryjskiego Ministerstwa Kultury stypendium na tłumaczenie i ukazała się w Toronto w 1984 roku się p.t. *Dreams and Reality. Polish Canadian Identities*. Później ukazała się w języku polskim w Polsce pod tytułem *Kanada, Kanada….*

J.S-G: Potem były kolejne anglojęzyczne, kanadyjskie wątki, poświęcone Senatorowi Haidaszowi i polskiej grupie etnicznej w Kanadzie.

A.Z-B: Książkę *Senator Haidasz* w 1983 roku wydała mi Polonia w Kanadzie (wydawca: *Century Publishing Company Ltd*). Sześć lat później ukazała się w Polsce pt. *Kanadyjski Senator.* W 2014 roku, pięć lat po śmierci senatora Haidasza, uzupełnioną przeze mnie o blisko 30 stron książkę, wydał *Polish Institute of Arts and Sciences* w Montrealu pt. *Senator Stanley Haidasz A Statesman for All Canadians*. Na tylnej okładce napisali opinie: Zbigniew Brzeziński, Jesse Flis, premier Kanady Stephen Harper, szef partii liberalnej Michael Ignatieff i senator Art Eggleton. Cieszę się, że publikacja ta starannie wydana trafi do blibliotek i zostanie ślad po tej szlachetnej postaci, jaką był senator Haidasz. Swoją polskość nosił z dumą jak sztandar.

W 2004 roku ukazał się wydany przez Kanadyjsko Polski Instytut Badawczy w Toronto (*Canadian Polish Research Institute*) mój zbiór wywiadów z Kanadyjczykami i Amerykanami polskiego pochodzenia zatytułowany *The Roots Are Polish.* Wśród rozmówców byli m.in. generał Donald Kutyna, profesor Andrew Schally, Zbigniew Brzeziński, Jan Nowak Jeziorański, Marek Jaroszewicz, Zdzisław Przygoda, Charles S. Kraszewski, Czesław Miłosz, Isaak B.Singer...Wstęp do książki napisał generał kanadyjski Bruce J. Legge. Napisał m.in., że *„Ziolkowska'Boehm's remarkable book sparkles with being Polish*"

J.S-G: Spokrewniony z Panią rzeźbiarz Korczak Ziółkowski zasłynął budową monumentalnego pomnika indiańskiego wojownika Crazy Horse w Południowej Dakocie. Pani już po śmierci stryja spędziła w rezerwacie Pine Ridge kilka miesięcy, poznając Indian i ich problemy. Dlaczego książka „indiańska" ukazała sie najpierw po polsku?

A.Z-B: Korczak Ziółkowski, rzeźbiarz, został poproszony przez wodza Siuksów Standing Bear o utrwalenie w Czarnych Wzgórzach Południowej Dakoty postaci słynnego Indianina Crazy Horse. Standing Bear powiedział, że Indianie „też mają swoich bohaterów". (Wcześniej Korczak brał udział w rzeźbieniu głów amerykańskich prezydentów w Mount Rushmore, którymi pracami kierował Gutzon Borglum).

Kiedy Amerykanie w ramach stypendium Fulbrighta w 1985 roku wysłali mnie do Południowej Dakoty i zobaczyłam pierwszy raz ośrodek *Crazy Horse Memorial*, pomyślałam, że skoro mój stryj podjął się takiej wielkiej sprawy, jak rzeźby w skałach wodza Indian, to może ja… napiszę o Indianach. Pomysł był trudny, ale starannie się do niego przygotowywałam. Zaprenumerowałam dwa pisma indiańskie – „Indian Country Today" i „Lakota Times", nawiązałam kontakty z Indianami. Książkę pisałam z dużymi przerwami 10 lat. Zaczęłam drukować swoje teksty poświęcone amerykańskim Indianom w pismach „Odra", „Polityka", „Ameryka", „Borussia", „Przegląd Powszechny", „Arkusz", „Nowy Dziennik/Przegląd Polski".

W Polsce, gdzie od 1975 roku ukazują się moje książki (Wydawnictwo Literackie wydało moją pierwszą *Blisko Wańkowicza)*, w 2007 roku indiańską zatytułowaną *Otwarta rana Ameryki* pięknie wydało wydawnictwo Debit.

J.S-G: Jaki oddźwięk był po ukazaniu się Pani książki dotyczącej problemów Indian wśród samych Indian?

A.Z-B: Kiedy znajomi Indianie dowiedzieli się, że książka jest wydana po polsku, dość szybko zarekomendowali jej amerykańskie wydanie. We wstępie wydawca i ja dziękujemy Apaczom, którzy ją sponsorowali.To była moja pierwsza książka w języku angielskim wydana w Stanach Zjednoczonych. Ukazała

się w 2009 roku pt. *Open Wounds A Native American Heritage*. Książkę zaopiniowało wielu Indian (m.in. znany Apacz Homer Flute), recenzowały ją pisma indiańskie, zakupiły biblioteki.

J.S-G: Wydawnictwo uniwersyteckie**,** Purdue University Press, wydało Pani piękną książkę o bezinteresownej przyjaźni – *Podróże z moją kotką* (angielski tytuł: *On the Road With Suzy From Cat to Companion*, 2010). Czy dostaje Pani listy, w których czytelnicy opisują historie związane z ich pupilami?

A.Z-B: Dostaję takie właśnie listy, jak i pytające, czy się znalazł drugi kot, o którego zaginięciu napisałam na samym końcu. Dzięki także tej książce poznałam wiele interesujących osób, bowiem koty… zjednują przyjaciół. Rozmawiamy chwaląc się nimi (nie wypada tak robić np. mówiąc o własnym dziecku) i mówiąc, jakie są wspaniałe. Kochający koty to swoisty klub ludzi z otwartym dużym sercem.

Doceniam, że tę książkę wydało wydawnictwo uniwersyteckie, które wydaje piękne książki o zwierzętach. To wydawnictwo jakby mi ją nobilitowało. Ma ona kolejne dodruki i miewa się dobrze.

J.S-G: Bardzo ważną dla nas Polaków sprawą jest przedstawienie polskiej historii amerykańskiemu odbiorcy, szczególnie tej dotyczącej okresu II wojny światowej. Do tej pory

ukazały się trzy Pani książki w tłumaczeniu angielskim: *Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża* (Muza 2006, 2014), *Lepszy dzień nie przyszedł już* (Iskry 2012), oraz historia jednego z Hubalczyków, Romana Rodziewicza. Skąd ten wybór?

A.Z-B: Po wydaniu dwóch książek, o tematyce indiańskiej i kociej, bardzo chciałam, by ukazały się moje reportaże historyczne pokazujące losy Polaków, których wojna wyrzuciła z domów, z ziem ojczystych, zabrała ich bliskich, złamała im życie. (Książki te w Polsce wydają mi wydawnictwa: Iskry, PIW i Muza). Piszę o pokoleniu, które po wojnie zostało na Zachodzie nie chcąc wracać do komunistycznej Polski, czy nie mając gdzie wracać, bo Kresy zostały zabrane. Pisałam, co się działo z byłymi żołnierzami spod Monte Cassino, z bohaterami od Hubala (tak powstała książka: *Polish Hero Roman Rodziewicz Fate of a Hubal Soldier in Auschwitz, Buchenwald and Postwar England, 2013).* Smutne, piękne, dramatyczne, bolesne – nasze polskie losy. Pokazuję wysyłki na Syberię, pobyty w obozach koncentracyjnych, przesłuchaniach na Pawiaku. Piszę o dzieciach, które straciły ojców w Katyniu. Pokazuję losy polskich Ormian, rzeź wołyńską. Wśród wielu sylwetek jest piękna postać Wandy Ossowskiej, piszę też o Żydówce Idzie Grinspan, która 50 lat poszukiwała Wandę – polską pielęgniarkę z Neustadt-Glewe, która uratowała jej życie. Ida dotarła wreszcie do szpitala, kiedy Wanda Ossowska straciła już przytomność i niebawem zmarła. Ida Grinspan w 2002 roku napisała z dziennikarzem francuskim

Bertrand Poirot-Delpech książkę o swoich staraniach, by Wandę odnaleźć: *Je n'as pas pleure* (I didn't Cry). Moja książka ukazała się p.t. *The Polish Experience Through World War II: A Better Day Has Not Come* (dwa wydania: 2013, 2015*).*

J.S-G: Czego ważnego o Polsce i jej historii dowiadują się Amerykanie z tych książek?

A.Z-B: Wydawca napisał mi, że bardzo ceni, że piszę w powściągliwy, serdeczny sposób o dramatycznych losach ludzi, bez komentarzy, bez pouczania. Że każdy może się utożsamić z cierpieniami, które pokazuję przedstawiając losy swoich wybranych bohaterów, że czytelnik wychwytuje najpiękniej i otwartym sercem całą tragedię i reaguje emocjonalnie.

A ja się cieszę, bo pokazuję, że Polacy-chrześcijanie byli w Auschwitz, że ratowano Żydów w ekstremalnych trudnych warunkach, pokazuję losy syberyjskich sierot… I że angielskojęzyczny czytelnik przyswoi sobie te tematy bez sięgania po historyczne rozprawy.

J.S-G: Pani historyczne książki oraz książka o Melchiorze Wańkowiczu ukazały się w wydawnictwie Lexington Books. Jak doszło do współpracy z tym wydawnictwem?

A.Z-B: Po wydaniu książki indiańskiej i kociej – nastąpił niełatwy

okres. Ponad dwa lata szukałam wydawcy na tłumaczenie książki *Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego Krzyża*. Po roku jeden z nowojorskich wydawców przeczytał kawałek, poprosił o drugi – odpisał, że mu się sposób pokazania podoba i chce podpisać umowę, ale jeszcze chciałby mnie spytać – czy na pewno jest to książka o Powstaniu w Getcie?... Nie, to jest o Powstaniu Warszawskim w 1944 roku... napisałam. – To nie będziemy mieli czytelnika, odpisał i wycofał się.

Jakoś nie załamałam się, bardzo chciałam, żeby książka wyszła w amerykańskim wydawnictwie, by dotarła do bibliotek i innych instytucji, co amerykański wydawca zapewnia. Chodziłam do księgarń *Barnes and Noble*, oglądałam dział książek historycznych, patrzyłam, kto wydaje książki o drugiej wojnie światowej, spisywałam wydawców i w internecie znajdywałam kontakt. Wysyłałam kolejne listy, na które dostawałam odpowiedź, że ich temat nie interesuje.

I tak – po ponad dwóch latach – pozytywnie odpowiedziało wydawnictwo *Lexington Books,* które wydaje książki popularnonaukowe. Książka ukazała się pod tytułem: *Kaia Heroine of the 1944 Warsaw Rising* (dwa wydania: 2012, 2014). Wydano mi w sumie już cztery książki poświęcone tematyce historycznej, bez żadnego sponsora, w sztywnej okładce, z fotografiami. Dwie mają drugie wydania (w miękkiej okładce).

J.S-G: Czy komentowano Pani książki historyczne?

A.Z-B: Pisał o nich przytaczany na tylnych okładkach, znany na obu półkulach, Zbigniew Brzeziński, a także historycy i autorzy amerykańscy: Neal Pease, Stanley Cloud i Lynne Olson (autorzy tłumaczonej w Polsce książki *Sprawa honoru. Dywizjon 303 Kościuszkowski*), Stanley Weintraub, Bruce E. Johansen, John R.Alley, Matt DeLaMater (autor książek o Napoleonie), Terrence O'Keeffe, Karl Maramorosch, Brytyjczyk Christoph Mick; polskiego pochodzenia historycy, jak Piotr S. Wandycz i Anna M. Cienciała, autorzy: Ewa Thompson, Jerzy R. Krzyżanowski, Charles S. Kraszewski (także tłumacz i poeta), Irene Tomaszewski, Leszek Adamczyk, Florence W. Clowes.

J.S-G: Ma Pani kontakt z amerykańskimi czytelnikami?

A.Z-B: Mam amerykańskich czytelników, nieraz proszą mnie o opinię, sugestie, rekomendacje. Np. na tylnej okładce *Rising Hope* autorka Marie Sontag umieściła moją wypowiedź. Mam też spotkania w księgarniach, pojawia się wtedy lokalna TV i pokazuje potem „migawkę".

J.S-G: Jak przystosowuje Pani swoje książki na tutejszy rynek?

A.Z-B: Nie wprowadzam znaczących zmian, ale czasami muszę dodać kilka zdań. Wyłapuje mi takie fragmenty mój mąż nie

mówiący po polsku. Wskazuje, żebym coś uzupełniła, bo nie rozumie „przeskoku myślowego”, zrozumiałego dla nas, Polaków.

J.S-G: Pani mąż, Norman Boehm, był już polskim patriotą.

A.Z-B: Norman nieźle znał najnowszą historię Polski. Kilka razy wysyłał listy prostujące różne sprawy, te listy zwykle drukują. Także przed laty włączył się w akcję mobilizacji senatorów amerykańskich, kiedy ważyła się sprawa przyjęcia Polski do NATO. Jest wiele razy cytowany (został tam także podany jego biogram) w książce Jana Nowaka Jeziorańskiego *Polska droga do NATO* (Wrocław 2006).

J.S-G: Jak Pani przekonała wydawcę, aby książka o Melchiorze Wańkowiczu ukazała się na rynku amerykańskim?

A.Z-B: Kolejno postanowiłam zaproponować książkę – tym razem o Melchiorze Wańkowiczu. Wydawca długo się zastanawiał, czy ją wydać. Pisał mi, że nikt tego pisarza nie zna. Tłumaczyłam, że jest taką postacią w literaturze polskiej, jaką był Hemingway w Stanach – ze względu na osobowość, tematykę swoich książek, popularność czytelników. Wreszcie, po różnych ustaleniach dotyczących treści, wydawca zgodził się.

J.S-G: Czym jest dla Pani wydanie książki o Pani mentorze w Ameryce?

A.Z-B: W książce *Melchior Wańkowicz. A Poland's Master of the Written Word (2013)* jako przykład stylu pisarza przytoczyłam pierwsze 20 stron jego *Bitwy o Monte Cassino.* Napisałam o polskim reportażu, o procesie 1964 roku – pierwszym procesie intelektualisty w Europie Wschodniej. W czasie procesu protesty składał amerykański PEN Club (Wańkowicz miał paszport amerykański), zabierał głos sentor Robert Kennedy. Na bieżąco pisała o procesie zarówno prasa amerykańska jak i całego świata. Na końcu książki napisałam kilka osobistych wspomnień, anegdoty. Wydaje mi się, że spłaciłam tą książką szczególny dług, kiedy pisarz zawierzył młodziutkiej osobie zapisując jej swoje archiwa. Wyjeżdżał ze Stanów wracając do Polski w 1958 roku krytykowany przez Polonię, że „jedzie do komunistów". Teraz pisarz wrócił do amerykańskich bibliotek.

J.S-G: Książką, którą napisała Pani najpierw po angielsku, a potem przetłumaczyła na język polski jest historia Ingrid Bergman, aktorki spokrewnionej z Pani mężem Normanem Boehmem.

A.Z-B: Odkładałam pisanie książki o Ingrid Bergman (której ojciec Justus, i babcia Normana Blenda, byli rodzeństwem) dobrze ponad 20 lat. Miałam do dyspozycji listy Ingrid pisane do jej cioci Blendy, do syna Blendy, i wnuka (czyli Normana). Miałam ładne opowieści mojego męża, który swoją kuzynkę szczerze podziwiał, lubił i cenił. Spotykali się w Rzymie, w

Deauville, w Londynie. Odkładałam pisanie, ważniejsze jakby były tematy polskie, aż wreszcie przeraziłam się, że coraz mniej ludzi pamięta tę niezwykłą aktorkę, i powinnam nie zwlekać.

J.S-G: Agentka sugerowała wprowadzenie zmian i dopisanie nieprawdy, aby książka się lepiej sprzedawała. Czy myślenie rzetelnego dokumentalisty tak bardzo różni się od myślenia osób związanych z rynkiem książki w Ameryce, że nie było możliwości porozumienia?

A.Z-B: Kiedy miałam tę niedużą książkę gotową, poszukałam agentkę. Zapoznała się z tekstem i dość szybko podpisałyśmy umowę. Niebawem napisała do mnie, że tekst jej się bardzo podoba od początku, ale… jest za mało sensacyjny. Odpowiedziałam, że jest to książka w założeniu spokojna, wyciszona, oparta o wspomnienia rodzinne. Nie pretenduje do wielkiej biografii (dużą kolekcję książek o Ingrid Bergman mam w domu). Swoisty urok tego tekstu jest w cytowanych listach, w których m.in. pisała, co myślała o Włoszech, Szwecji, Stanach Zjednoczonych.

– Może np. dopisz, że Norman się podkochiwał w swojej kuzynce… – zaproponowała moja agentka. – Ależ ja tego nie napiszę, nie mogę tego napisać – odpisałam. – Nie martw się, moja edytorka ci to dopisze – odpowiedziała.

Przeraziłam się, szybko zrozumiałam, właściwie dyskutować było trudno… kolejne sześć miesięcy trwało wycofywanie się z tej umowy. Napisałam o wszystkim do mojego wydawcy książek historycznych, który odpisał, że oni nie mogą jej wydać, bo wydają książki popularnonaukowe, ale pomogą mi znaleźć wydawcę. I tak się stało. Ukazała się pod tytułem *Ingrid Bergman and Her American Relatives (2013),* wkrótce potem w Polsce pt. *Ingrid Bergman prywatnie* (pięknie wydana przez wyd. Prószyński i S-ka).

J.S-G: W tym roku ukazała się w języku angielskim Pani autobiografia *Ulica Żółwiego Strumienia*, zatytułowana *Love for Family, Friends, and Books* (2015), którą pisała Pani mieszkając z mężem w Dallas w Teksasie. Ludzka pamięć zmienia się w zależności od tego ile razy przypominamy sobie wydarzenia i z którego punktu na nie patrzymy. Czy ukazanie się tej książki po wielu latach od polskiego wydania, spowodowało powrót do osób i historii z Pani życia? Czy gdyby Pani teraz pisała autobiografię, widziała by Pani pewne wydarzenia inaczej?

A.Z-B: Dobrze, że tę książkę napisałam mając 40 lat, nie czekałam, aż się całkiem zestarzeję. Książka jest z założenia serdeczna, o czym we wstępie piszę. Pamięć jest ulotna, różne sprawy inaczej pamiętamy po czasie. Może po latach pamięć jest bardziej „ranliwa”?… W tłumaczeniu zabrałam kilka fragmentów, dodałam inne, np. o roli papieża Jana Pawła II w Polsce, o

zmianach, które następowały.

Amerykańskie wydanie na tylnej okładce jest zarekomendowane przez autorkę wielu książek Audrey Ronning Topping, profesora Bruce Johansena. Jesse Flis napisał, …że moje pisanie motywuje wielu Kanadyjczyków by na nowo odkryć swoje polskie korzenie (*The autor's writings have motivated many Canadian citizens to rediscover their Polish roots*). Ładnie, prawda?

Pierwodruk:

PAMIĘTNIK LITERACKI, Londyn, Tom XLIX, wydawca: Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, czerwiec 2015. str. 75-81.

O góralu, który przechodził

przez kładkę



Tatry na starej fotografii.

Romuald „Aldek” Roman

Biały Potok, który wyrzeźbił wapienne, strome zbocza Doliny Białego w Tatrach, tylko trochę zwolnił bieg, wypływając z regli i wijąc się wśród pagórkowatych łąk i lasków wokół biednej góralskiej uliczki Małe Żywczańskie. Choć już nie ograniczały go wapienne skały, tylko łupkowate zbocza parowu, on nadal pędził między zaroślami łopianów, rachitycznymi krzakami i kępami

świerków.

Na Żywczańskim mieszkali górale. W każdym razie w czasach, kiedy byłem dzieckiem i bogate cepry wolały budować swoje nowobogackie jednorodzinne domy (przed wojną nazywali je willami i pensjonatami) w bardziej prestiżowych miejscach, w sąsiedztwie parku i Krupówek. A przy wąskiej zabłoconej uliczce stały biedne chaty z przynależnymi do nich oborami, koło których pasły się chude krowy, a groźne białe psy szarpały łańcuchy, jakby chciały zagryźć każdego idącego drogą. Na otaczających Małe Żywczańskie łąkach w lecie pachniało sianem, które górali suszyli na ostrewkach, a wiosną i jesienią śmierdziało gnojem z przydomowych poletek.

Tam, gdzie prowadząca do Krupówek ulica Tetmajera dochodziła do Małego Żywczańskiego, nad potokiem przerzucono kładkę. Zrobiono ją domowym sposobem z kilku świerkowych pni, trochę tylko zestruganych siekierami od góry, tam, gdzie się chodzi, i z pojedynczymi rozchwianymi poręczami po obu stronach, takimi, żeby dopomóc idącemu w utrzymaniu równowagi i żeby nazywało się, że są, ale żeby przypadkiem nie liczyć, iż wytrzymają nacisk, gdy ktoś mocniej się oprze. Kładka opierała się od strony Tetmajera na resztkach muru, który inżynier Scherer wybudował, by zakotwiczyć koniec otaczającego jego willę ogrodzenia, aż przy samej wodzie, a z drugiego końca na podobnym kamiennym obrzeżu, którym malarz amator Weseli

bronił swego podwórka przed podmyciem przez rwący potok. Murki za bardzo nie pomagały, bo po każdym większym deszczu woda porywała kładkę i niosła ją w dół, w stronę zagrody Wrześniaków, albo jeszcze dalej, aż w chaszcze koło Jaworowego Dworu. Trzeba było wtedy odbudować przejście przez potok i górale przychodzili z siekierami, i ciosali, klęli, narzekali, ale pracowali dzielnie i naprawiali mostek w ciągu dwóch, trzech dni. Źli byli bardzo na potok, że im porwał kładkę, ale odbudować ją musieli, ponieważ łączność z ulicą Tetmajera i Krupówkami umożliwiała im sprzedawanie ceprom mleka i serów, jak również kupowanie alkoholu w sklepie przy ulicy Witkiewicza.

Nasz dom, który wtedy nie był już naszym domem, tylko został przez państwo ludowe przemianowany na Dom Wypoczynkowy Funduszu Wczasów Pracowniczych Roztoka, stał przy ulicy Tetmajera pod numerem 26, czyli w połowie drogi pomiędzy skrzyżowaniem z ulicą Grunwaldzką a potokiem i kładką, o których napisałem już całe trzy akapity. To położenie gwarantowało wszystkim jego mieszkańcom oglądanie i przede wszystkim słuchanie nocnych migracji górali.

Ach, cóż to był za folklor! Cisza zakopiańskiej nocy – i nagle, o drugiej nad ranem pod samym oknem, z siłą stu dwudziestu decybeli i smutku utraconej miłości rozdzierała ją pieśń.

Regle, nose regle,

utra-a-a-a-co-o- ne regle!

Kie jo se zaś-piewom,

to mi sie rozle-e- gnie…

A to góral wracał do domu i z żalu, że wieczór zakończył się tak wcześnie, albo z tęsknoty za do połowy wypitą, ostatnią ćwiartecką wódki, która jeszcze była w kieszeni spodni, ale już bardzo niedługo mu się skończy, a może ze strachu przed czekającą go w domu babom ukazywał światu, Tatrom i obudzonym w środku nocy wczasowiczom całą swoją żałość.

A gdy skończył śpiewać, *Regle*, robił się zły, i silny, i zadziorny. I już nikogo się nie bał, ani kolegów, ani, „kurwa-ceprów", ani nawet baby. I śpiewał dalej:

Ej, pójdźcie, kurwa, kłopcy,

ej, krew się bedzie lała!

Ej, czerwona posoka

po ścia-a-a-nach sikała!

I leciała pieśń wojenna! I siła w niej była taka, że martwe nietoperze spadały z nieba pod nogi górala! I drżeli ze strachu wczasowicze, a zakopiańczycy – i ci, którzy od dziecka w Zakopanem wychowani, a nawet ci, którzy już byli drugim pokoleniem „kurwa-ceprów", – zamykali zasuwy i przekręcali zamki, żeby drzwi były podwójnie zamknięte, na wypadek, gdyby góral zaczął ciupazecką się dobijać.

A góral nic sobie nie robił z tego, co o nim myślą w domach wczasowych, a nawet na samej komendzie milicji obywatelskiej, bo nikogo się nie bał, bo miał w jednej kieszeni scyzoryk, a w drugiej ćwiartkę, a jak świat światem, gdy ta trójca się zejdzie: góral, scyzoryk (ewentualnie siekierecka) i ćwiartecka cystej, to ni ma takiej siły, która by się ostała!

Chyba że…

Chyba że akcja ma miejsce tam, gdzie ulica Tetmajera staje się uliczką Tetmajera, a potem zamienia w gliniastą stromą dróżkę opadającą nad Biały Potok. Dróżka to wąska, z obu stron wymyta przez deszcze, tak że gdy człowiek już na nią wejdzie, to jak ten pociąg na szynach – nie ma ucieczki, musi schodzić, zbiegać, staczać się prosto w stronę kładki nad potokiem. A szybkości nabiera się przy tym zbieganiu od razu, bo taka stroma ta ścieżka, że pod górę na rowerze nie da się nią wjechać i trzeba rower prowadzić. A śliska… Jezu! Na wiosnę i jesienią zawsze

mokra glina. W zimie – śnieg i lód.

Nie w rozpędzaniu się po ścieżce największe jednak niebezpieczeństwo, lecz w trajektorii tego rozpędzania. Zaskoczony nagłą zmianą konfiguracji terenu człowiek nie biegnie dokładnie po linii, lecz jakby naśladując funkcje sinusoidy, przemieszcza się z jednego brzegu parowu na drugi. I albo ma szczęście, albo go nie ma. Jeśli ma szczęście, to z rozpędem trafi na kładkę, a potem uda mu się jakoś przelecieć po śliskich pniach i nie wypaść do potoku. A jeśli nie ma szczęścia, to przebiegnie, przeleci obok kładki i chlust do potoku! Albo zmieści się pomiędzy poręczami, wbiegnie na kładkę, ale poślizgnie się, wyłamie barierkę i do potoku!

I tak to dzieckiem będąc, obudzony z niewinnych snów mrożącym krew w żyłach góralskim zawodzeniem, nie bałem się, nie wchodziłem pod kołdrę i nie uciekałem do mamusinego łóżka, tylko biegłem do okna, wystawiałem głowę na nocne powietrze i nasłuchiwałem oddalających się odgłosów właściciela ciupazecki. Śpiew i wojownicze okrzyki cichły z wolna, w miarę jak góral był coraz dalej od mojego okna, o pięćdziesiąt metrów… o sto… aż nagle cisza… Cisza, bo przecież plusku z takiej odległości nie słychać. Szczególnie gdy plusnęło na dole, w jarze potoku.

A potem krzyk gniewu i rozpaczy! Najczęściej: „O kurwa!”. A

potem jęki gramolenia się jak ten Syzyf po śliskich, wymytych łupkach i przekleństwa podczas wpadania z powrotem do wody.

Aż po kilkunastu minutach wszystko cichło.

Bo, jak mówiła moja babcia: „Nic się złego pijakowi nie stanie, bo Pan Bóg opiekuje się pijakiem”, więc i góral koniec końców gramolił się z potoku na brzeg. A ja wracałem do łóżka i zasypiając, marzyłem sobie, że góralowi nie udało się wyjść z potoku i gdy rano pójdę na kładkę, to ciągle jeszcze będzie siedział w wodzie w tych swoich bukowych portkach i wyklinał, i rzucał w dzieci kamieniami.

fragm. książki „Zakopiański Dom Wariatów”.

Książkę Romualda „Aldka” Romana „Zakopiański Dom Wariatów” można kupić przez księgarnie internetowe, takie jak Empik czy Gandalf.

Pojawił się też czytany przez autora audiobook dostępny na audible.com i amazon.com.

Autor prosi czytelników, którzy przeczytali jego książkę lub wysłuchali audiobooka o podzielenie się na stronach audible.com i amazon.com swoimi wrażeniami.